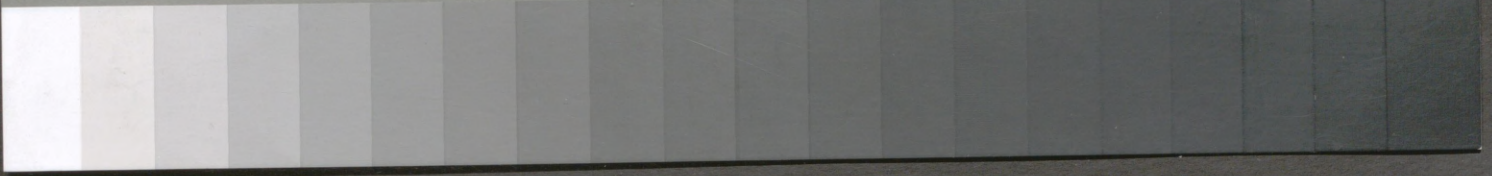




Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19





KAROL SZAJNOCHA.



SZKICE HISTORYCZNE

- I. Jan Sobieski banitą i pielgrzymem.
- II. Wnuka króla Jana III.

Ze
słowem wstępnem
STANISŁAWA BEŁZY.

WARSZAWA
NAKŁADEM „ZIARNA”

—
1910

93/438/†

9606/1



Druk. Edw. Nicz i S-ka, Nowy-Świat 70.

Słowo Wstępne.

Z wielkiej liczby Szkiców Historycznych, niezapomnianego Karola Szajnochy, wyjmuję dwa, jeśli nie najgłośniejsze, to najciekawsze, by wam je w podręcznej bibliotece naszej przypomnieć.

Mniemam, że obudzą one żywe zainteresowanie.

Bo pierwszy z nich odnosi się do osoby wielkiego bohatera narodowego i obrońcy Chrześcijaństwa od Turków, Jana Sobieskiego, z czasów gdy choć jeszcze koroną polską gło-

wy swej nie uwieńczył, był już przecież jednym z najsławniejszych rycerzy, drugi związany jest z jego uroczą wnuczką, księżniczką Klementyną, małżonką pretendenta do tronu angielskiego, która powołana do berła i purpury, nieszczęsny swój żywot zakończyła we włosieniicy.

Wielki nasz król banitą, uroczą córka jego pierworodnego syna wygnanką, — kogoż przedmiot taki nie porwie, czyjeż wyobraźni nie poruszy, to też w tem przekonaniu, ten ale nie inny zapożyczam ze spuścizny znakomitego historyka, temu, nie innemu, poświęcam na tem miejscu słowo wstępne.

Karol Szajnocha w dziejopisarstwie naszym zajmuje stanowisko wyjątkowe i odrębne.

Wyjątkowe, bo historyk, nie poszedł on śladami wydeptanymi przez zawodowych historyków, odrębne bo stworzył w literaturze naszej rodzaj

piśmiennictwa, nieznanym przed nim
żadnemu w Polsce z nich.

Kiedy wzięwszy rozbrat z literaturą piękną, w której jako dziennikarz i autor sztuk teatralnych stawiał pierwsze kroki, zabrał się do poważnych studjów historycznych, bystrem swym wzrokiem dostrzegł on odrazu, że studja te, w tym wypadku jedynie liczyć mogą na szerokie rozpowszechnienie, jeśli się otrząsną z suchości, w jaką je wszyscy dziejopisowie przed nim przyoblekali.

Że muszą przybrać, aby czytane były, formę ponętą i piękną,

Że nie pozbywając się cech naukowych, upodobnić nieledwie do powieści.

Widział on dokoła siebie w Galicji ówczesnej (połowa ubiegłego wieku) apatię, ogólny poziom umysłowy mieszkańców całego kraju, — następstwo germanizacyjnych rządów Austrii, — rozpaczliwie niski,

czuł więc, zaprzysięgłszy służby badaniom ojczyściej przeszłości, że jeżeli ma się pod jego piórem historia stać mistrzynią życia (*magistra vitae*) musi być nie pedantką ciężką, ale wdzięczną doradczynią i towarzyszką, szepczącą słodko do ucha pouczające, lecz ponętne słowa.

I stworzył nowy rodzaj w dziejopisarstwie polskim.

Tak nazwane Szkice Historyczne.

Coś pośredniego między powieścią a historją.

Coś zarywającego z jednej i drugiej, tem przecież wyróżniającego się od pierwszej, że gdy powieść ze względu na fabułę swoją może być baśnią (Anglicy nazywają też cały jej rodzaj słusznie *fiction*) jego Szkice historyczne muszą być prawdą.

Bawić językiem, uczyć treścią.

I ucząc, krzesać w sercach miłość do kraju.

Zakreślił więc sobie, wstępując na

nową drogę, cel wielki i piękny, naukowy i patriotyczny zarazem, zapragnął w miejsce strawy lekkiej i czczej, podstawić narodowi swemu, lekką co prawda z formy, ale ze względu na przedmiot, bynajmniej nie nikłą.

I posypały się z pod jego pióra, jak z rogu obfitości cudowne wprost szkice i sprawiły prawdziwy dokoła cud.

Bo rzucili się ku nim wszyscy, starzy i młodzi, mężczyźni i kobiety, bo rozstawano się dla nich z najbardziej sensacyjnymi powieściami, bo wyrywano je sobie wprost z rąk.

Pamiętam wrażenie jakie sprawiły one na mnie, w epoce mojej młodości, duchowego dzieciństwa niemal, jak je nazwał Mickiewicz „*sielskiego, anielskiego*“.

Pamiętam.

Byłem uczniem wtedy wzorowego zakładu naukowego Jana Barsz-

czewskiego na ulicy Mazowieckiej, słuchałem wykładów języka polskiego z ust przyszłego emigranta i wygnańca Siwińskiego.

Któryś z kolegów starszych dał mi *Jadwigę i Jagiellę*.

Jednym tchem przeczytałem to dzieło i zostałem niem wprost olśniony.

Uczyłem się na pamięć ustępów z niego całych, śniłem o jego bohaterach, łązy w cichości lałem nad poświęceniem pięknej naszej Królowej, targającej węzeł serca, by dokonać olbrzymiego dzieła wzmocnienia ojczyzny,

Był to wstrząsający wpływ pisarskiego talentu.

Szajnocha taki wywierał na wszystkich.

„*Jadwigą*“ i „*Jagiellą*“, „*Barbarą Radziwiłłówną*“, „*Wiekami Kazimierza Wielkiego*“, „*Matką Jagiellonów*“, „*Mścicielem*“.

Wszystkiem.

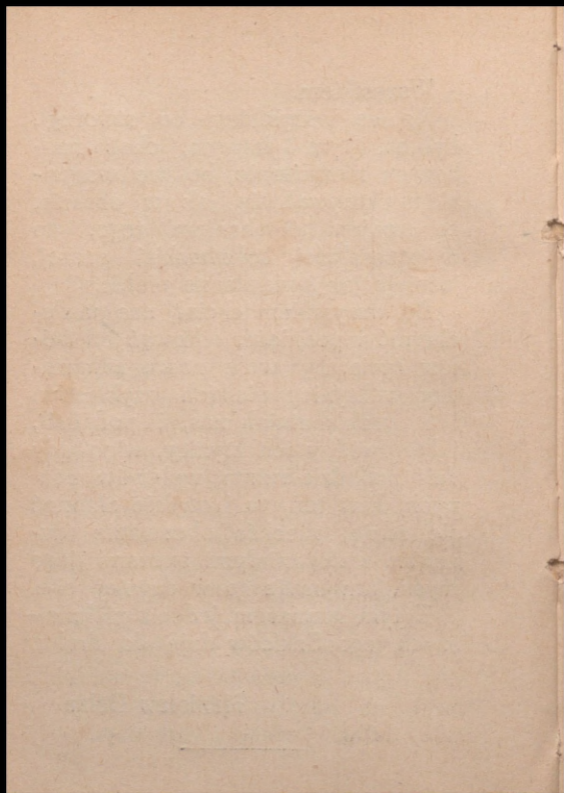
Bo we wszystkim co stworzył, był barwnym i łatwym, choć naukowym niezmiernie, bo we wszystkim ukazywał się jak w obrazie, ze swoim ukochaniem tego, co w przeszłości bohaterskiej naszej, jaśnieje jak gwiazda na niebie.

Bo wszystkim chciał nas uszlachetnić i podnieść, oderwać od bólów życia, by wolę naszą zahartować w krynicy wielkich przykładów.

I uszlachetniał nas, i podnosił, i hartował w ich krynicy, więc gdy dziś pod działaniem wpływów różnych, hart ten, tu i owdzie słabnąć się zdaje, niechże obcowanie duchowe z wspaniałymi tworam i jego myśli, utrzymuje go w dawnej sile.

Z tym zamiarem, jeden z piękniejszych jego Szkiców daję do druku.

Stanisław Bełza.



JAN SOBIESKI

banitą i pielgrzymem.

Wiadomość o królu Janie III, jako banicie znajdzie niestety mniej trudną wiarę, niżby właściwie należało. Przyzwyczailiśmy się bowiem mieć nader niepoehlebne wyobrażenie o jego charakterze i postępkach w młodości. I nie dziś dopiero urosło to mniemanie, lecz panowało już powszechnie za jego życia. Ledwie nie wszystka szlachta współczesna jak z jednej strony widziała w nim jedyne go obrońcę od nieprzyjaciół i zbawcę kraju, tak z drugiej żywiła ku niemu głęboką od dawna niechęć. Było w tem daleko więcej uprzedzeń niż

słuszności, lubo uprzedzeń z bardzo ważnych powodów.

Początki publicznej służby młodego starosty jaworowskiego przypadły w porę najniezwyklejszą. Okropne klęski wojen kozacko-tatarskich za Chmielnickiego rozkołatały do gruntu cały gmach społeczny. Sromota ucieczki pilawieckiej otarła wstyd z promiennego niegdyś oblicza szlachty. Niespodziewany pogrom batowski nauczył drzeć na lada wieść o chłopstwie i Tatarach. Uświęcona przez Sicińskiego wolność pogrążania Rzeczypospolitej za lada zachęceniem w otchłań nierządu rozzuchwalała do wszelkich bezpraw i gwałtów. Powszechne wiarołomstwo w początkach wojny szwedzkiej oswoiło z najsroźszymi zbrodniami publicznymi. Spadły te wszystkie plagi na Polskę w niespełna ośmiu latach, między rokiem 1648 a 1655. Miał

Jan Sobieski u wstępu tej strasznej pory lat niespełna 18, u jej końca mało co więcej nad lata pełnoletności.

Wyobraźmyż sobie młodzieńca gorącej duszy, rzuconego na falę burzy ówczesnej. Do tego był to młodzian bez ojca, bez przewodnika, bez znanej nam poważniejszej opieki męskiej. Ojciec już przed kilku umarł latami, a znakomita wysokim umysłem matka lgnęła więcej ku starszemu z synów, Markowi, powszechnie wyżej cenionemu od Jana. Upośledzony od matki, stracił brat niebawem i tegoż brata starszego, jedyną zapewne moralną podporę swoją. Sam jeden, namiętny, powszechnym porwany wirem, jakże daleko mógł młody wartogłów dać się unieść prądowi!

Jan Sobieski uniósł się mniej daleko, niż się można było obawiać, ale nie uniknął śladów powszechnie-

go zepsucia. Skazona nimi młodość tem niepochlebniejszą ustaliła o nim opinię, im większe uszanowanie otaczało pamięć zmarłego ojca i brata. Przybyła niebawem jeszcze ważniejsza pobudka do publicznej niechęci. W ostatniem niebezpieczeństwie ojczyzny po opanowaniu kraju przez Szwedów poruszona została kwestja następstwa po Janie Kazimierzu. Dla uzyskania pomocy albo pokoju w Wiedniu, Siedmiogrodzie i Moskwie, okazano tym wszystkim dworom nadzieję zapewnienia sobie tronu polskiego jeszcze za życia Jana Kazimierza. Rozpoczęły się w tym celu żywe zabiegi dyplomatyczne, które w istocie posłużyły do rozerwania zawieszanej nad Polską burzy. Gdy jednak niebezpieczeństwo minęło, zamierzył dwór warszawski położyć koniec dalszym nadziejom i intrygom tego rodzaju, a to przez pod-

niesienie projektu całkiem nowej elekcji. Wszyscy senatorowie nie tylko zgodzili się na wybór jednego z książąt francuskich, ale jak najgorliwiej dopomagali królestwu w tym zamiśle. Popierał go mianowicie w. marszałek kor. Lubomirski, w niedawnej wojnie szwedzkiej nieskończenie zasłużony ojczyźnie i królowi, a teraz walny promotor następcy francuskiego. Są nawet wszelkie poszlaki, iż sam Lubomirski poddał królowi pierwszą myśl takiej elekcji.

Ale zamysły magnatów jak Lubomirski dziwnie subtelnemi poruszyły się sprężynkami. Lada zadrażnienie miłości własnej nadawało inny obrót ambicji, czyniło adwersarzem stronnika. I pan marszałek w. kor. z nader maluczkich przyczyn stał się przeciwnikiem własnego elekcji francuskiej planu. A ponieważ dwór wiedeński przez swego posła w Warszawie pracował

gorąco nad usunięciem Francuza od następstwa, więc zawiązało się blizkie porozumienie między marszałkiem w. kor. a gabinetem wiedeńskim.

Ajenci cesarscy i marszałkowscy rzucili się do podburzania szlachty przeciw projektowi elekcji, przedstawiając ją zamachem na swobody szlacheckie, niecąc wszędzie gwałtowny entuzjazm dla tych swobód. Wybuchła w całym kraju niezmierna agitacja umysłów, na pozór republikańsko-narodowa, w istocie marszałkowsko-cesarska. Marszałek w. kor. poczytany został głównym obrońcą swobód, i wraz z całą szlachtą coraz głębiej w austriacką brnął matnię. Austriacy rozesańcy układali dla szlachty łacińskie śpiewki na cześć złotej wolności, a szlachta na teatrze w Warszawie strzelała z łuków do aktorów francuskich, którzy śmieli przed-

stawiać zwycięstwo Francuzów nad cesarzem.

Można więc pojąć, w jaką niechęć publiczną popadli wszyscy stronnicy dworu i jego planów. Między tymi był także młody Sobieski, od czasu wojny szwedzkiej rzetelnie zasłużony królestwu, i już chorążym koronnym mianowany. Wraz z całym prawie senatem pozostał on wiernym projektowi elekcji, i ze wszystkimi senatorami doznawał za to gniewu opinii. Dalsze owszem wypadki uczyniły go wybraną ofiarą jej zawziętości. Gdy bowiem w coraz sroższym rozterku między dworem i rokoszującym marszałkiem przyszło do złożenia Lubomirskiego z hetmaństwa polnego i marszałkownictwa w. kor., stał się młody chorąży poniewolnym następcą w obu jego urządach. Buławę polną przeznaczono najpierwej Czarnieckiemu, ale po jego razem prawie z nominacją

przypadłej śmierci, przeszło i hetmaństwo tuż po lasce na Jana. Stało się to nietylko bez jego starań i zabiegów u dworu, ale nawet przeciw jego życzeniom. Zamiast cieszyć się ze swojej nagłej promocji, użala się on na nią w swoich listach poufnych, i zarówno laskę jak i buławę przyjmuje sercem niechętnem; raczej z posłuszeństwa dla dworu, niż dla dogodzenia ambicji.

Nie ocaliło to przecież reputacji Sobieskiego u szlachty. Widziano w nim spadkobiercę dostojństw marszałkowskich, a to wystarczało do zadania mu śmiertelnego ciosu u szlachty. Jako przyjaciel zamysłów dworskich, mniemany ciemiężca niewinnego marszałka, oppressor swobód publicznych, stał się Jan Sobieski celem nienawiści powszechnej. Że uciemiężony marszałek za cesarskie pieniądze wojnę podniósł domową, o cesarskie pieniądze

raz po raz błagające do Wiednia pisywał listy, nie zwracało na się uwagi albo uchodziło za rzecz godziwą. Że zaś młody chorąży w powszechnem skażeniu obyczajów nie był świętszym od reszty młodzieży i niemłodzieży, że nadskakiwał paniom u dworu, i przez lat dziesięć kochał się wiernie w wydartej sobie przez Zamojskiego francuskiej panie dworskiej, poczytano mu za grzech nieprzebaczony.

Zamiast cenzurować coraz sroższą swawolę szlachty na sejmie, w trybunałach i wojsku, zajęto się niezmiernie żarliwą cenzurą modnych obyczajów u dworu, niezwyčajnych tam rozrywek i galanterji, a osobliwie miłostek młodego chorążego. Podawano sobie ustnie i na piśmie, wierszem i prozą, najpotworniejsze o nim pogłoski. Według tych plotek był to pierwszy rozpustnik swojego czasu, niebezpieczny wszystkim

mężom zwodziciel, prawdziwy Kaligula. Pełne takich baśni rękopisy owej epoki, a jedna z niedrukowanych dotąd satyr na senat tamtoczesny, przystępując do kreślenia obrazu Sobieskiego, zaczyna w istocie temi słowy: „Ot i ten Kaligula w pludrach rękę trzyma...” i t. d.

Do niepochlebnych pogłosek tego rodzaju możemy dorzucić jeszcze jedną, zapewne najdotkliwszą ze wszystkich. Jan Sobieski tak dalece owymi czasy zboczył z toru słuszności, iż musiał karany być banicją. I to nietylko raz jeden, ale dwukrotnie obwołało go prawo banitą. Jakże ciężkie powody zniewoliły sędziów do wymierzenia tej surowej kary przeciwko synowi tak zasłużonego w narodzie ojca, pierwszego niegdyś senatora Rzeczypospolitej! Posądzenia nasze nabierają tem większej wagi, gdy nam przyjdzie usłyszeć dalej, iż jedną

z tych banicji ukarany został młody Sobieski za przewinienie względem klasztoru panien Karmelitanek we Lwowie. Nie należąc nawet do oszczerców albo łatwowiernych bajorzy, możnaby z wątku tamtoczesnych pogłosek najdziksze roić domysły.

Ale uspokójmy się o pamięć króla Jana. Sława jego nie poniesie wielkiego uszczerbku z przyczyny tych banicji. Były to jedynie wyroki sądowe za niedopełnienie nakazanej wypłaty długów. Głównem też źródłem wiadomości o tych banicjach są własne pozwy Sobieskiego o zniesienie z niego tej kary, po uskutecznionem już zaspokojeniu przeciwników. Oto co z zapisków urzędowych możemy podać w tej mierze.

W czerwcu r. 1653 kończył Jan Sobieski 24 rok życia. Już atoli

zwyczajnie od 21 lat wstępował każdy szlachetny młodzian w niektóre prawa obywatelskie, mianowicie w prawo piastowania urzędów, pełnienia funkcji poselskiej, rozporządzania majątkiem za przyzwoleniem krewnych i t. p. Nim też jeszcze młody starosta jaworowski zupełną osiągnął wieloletność, zapozwał go niejaki Mikołaj Aksmanicki o dług 40.000 złp.

Procesów takich przejął młody starosta jaworowski niemaló wraz z fortuną ojcowską, jak wszystkie majątki tamtoczesne znacznymi obciążoną długami. W sumariuszach aktów ówczesnych napotykają się nader często przesyłane Sobieskiemu upomnienia do wypłaty dawniejszych należności. Sam też Sobieski użala się na to wielokrotnie w listach do żony. Zapewne więc i pan Mikołaj Aksmanicki upominał się długą dawniejszej daty.

Na wszelki wypadek był to pozew znanego w swoim czasie pie-niacza. Pan Mikołaj Aksmanicki ustawicznie prawował kogoś albo był prawowanym. Nie znago wpraw-dzie historia owych czasów, nie masz go nawet w herbarzu Niesie-ckiego, ale tem częściej spotkać go można w aktach sądowych. Wszy-stkie księgi ziemskie i grodzkie wo-jewództwa ruskiego z tej pory peł-ne są jego imienia, jego pozwów, jego procesów i krwawych zwad z sąsiadami.

Samo nazwisko pana Aksmani-ckiego mogłoby dać powód do spo-ru, gdyż brzmiało jak się zdaje dwo-jako, Askmanicki i Jaskmanicki. Książd Niesiecki ma tylko Jaskma-nickich herbu Leliwa, osiadłych w ziemiach przemyskiej i sauockiej, a że i nasz Mikołaj Askmanicki był posesjonatem ziemi przemyskiej, i posiadał tam prawdopodobnie wsie

Bruchnal i Nikłowice, więc będzie to zapewne jedno i tożsamo nazwisko.

Z tym więc Askmanickim czy Jaskmanickim o pretensję dawną czynową zaniósł się na sprawę trybunalską. Przypadło to jakoś w samo przedjutrze nowej tegoż roku wojny kozackiej i tatarskiej, zakończonej w zimie ugodą z Tatarami pod Żwańcem. Właśnie kiedy młody starosta jaworowski wyprawił się do obozu, przycisnęła go niebezpieczniejsza dlań walka z głośnym na całe województwo warcholem. Według pozostałych o niej zapisków urzędowych i zwyczajnego w podobnych wypadkach procederu prawnego, musiała ona następujące przebiec koleje.

Pierwszy pozew strony żałującej czyli *powodu* zawezwał Sobieskiego przed sąd ziemski we Lwowie. Ten

zawyrokował na korzyść Mikołaja Askmanickiego. Jan Sobieski skazany został na wypłatę 40.000 złp. Egzekucja wyroku należała zwyczajnie do starostwa grodzkiego. Udał się więc pan Askmanicki z wyrokiem ziemskim do grodu i zażądał wykonania sprawiedliwości. Posłuszny temu gród przydał zgłaszającemu się sędziego z podstarościm, dwoma woźnymi i kilką szlachty, którzy stronę powodową wwiązać mieli w jedną z posiadłości dłużnika.

Ale wwiązanie takie rzadko kiedy brało skutek od razu. Strona obżałowana okazywała się pospolicie oporną i nie dopuszczała wwiązania. W takim razie sąd grodzki ze stroną pokrzywdzoną wydawały dłużnikowi pozew do trybunału. Ten rozpoznawał jeszcze raz sprawę, a przekonawszy się o słuszności powoda, wydawał wyrok banicji. I bawiący

właśnie na wojnie starosta jaworowski został w ten sposób banitą.

Była to atoli tylko banicja mniejsza, czyli tak zwana cywilna, zwyczajnie bez infamji. Nie pozbawiała ona gardła ani wywoływała z kraju, nie czyniła nawet uszczerbku dalszej służbie w obozie, ale odejmowała władzę piastowania nadal urzędów i pełnienia jakiegokolwiek funkcji publicznych. Udzielony sądowi grodzkiemu wyrok trybunalski nakazywał prócz tego wprowadzić oskarżyciela przemocą w jedną z posiadłości strony przeciwnej. W przeciągu ośmiu miesięcy od ogłoszenia banicji musiało nastąpić ostateczne wykonanie wyroku.

Dla uniknięcia tak przykrych następstw banicji, należało czynić rychło staranie o jej kasację. Jeżeli przed upływem dwunastu niedziel po ogłoszeniu wyroku nie nastąpiły potrzebne ku temu kroki, banicja

stawiała się wieczystą. Były zaś takimi krokami najpierwej zaspokojenie strony skarżącej, następnie zapozwanie jej do trybunału o zniesienie banicji.

Otrzymawszy poświadczenie zapozwania takiego, potrzeba było uwiadomić o nim sąd grodzki, w którym uzyskana była banicja. Uwiadomienie to musiało nastąpić w przeciągu tygodnia od pozwu do trybunału, i wymagało zwyczajnie osobistego stawienia się strony przed sądem grodzkim. Tym razem atoli z niewiadomej przyczyny obeszło się bez takiej osobistej obecności Sobieskiego przed grodem, i czytamy w aktach jedynie o wniesieniu pozwu przeciw Askmanickiemu za pośrednictwem woźnego.

Nazajutrz po niedzieli *Oculi* w wielkim poście, tj. dnia 17 marca r. 1653 stanął przed sądem grodzkim woźny nazwiskiem Michał Ol-

szowski ze wsi Brzuchowic, i w imieniu pana starosty jaworowskiego, Jana Sobieskiego, oznajmił nie tylko jeden ale owszem dwa pozwy o zniesienie banicji, tj. pierwszy przeciw panu Mikołajowi Askmanickiemu z powodu długu 40.000 złp., drugi przeciw ówczesnemu staroście grodu lwowskiego, jako poprzednio z obowiązku swojego popieraczowi i wykonawcy uzyskanej przez Askmanickiego banicji.

Po oznajmieniu obydwóch pozwów we Lwowie następowiała sprawa z zapozwanymi w Lublinie. Tam za okazaniem przez Jana Sobieskiego poświadczeniem, iż Mikołaj Askmanicki otrzymał należącą mu sumę 40.000 złp., skasowany został poprzedni wyrok z powodu nieuiszczenia tej kwoty i upadła sama przez się banicja.

Odtąd w żadnym z znanych nam aktów urzędowych do historii pry-

watnych króla Jana stosunków nie powtarza się nazwisko Askmanickiego. Sobieski zaś właśnie w roku pierwszej banicji swojej wstąpił na szersze pole zasług w ojczyźnie. Aż potąd pełnił on tylko zwyczajne obowiązki każdego z obywateli; odtąd rozpoczął się zawód prac i ofiar nad miarę powinności codziennej.

Jeszcze jako banicie w mocy Mikołaja Askmanickiego, jeszcze przed zniesieniem wyroku w trybunale lubelskim, przyszło Janowi wyprawić się na togoroczną wojnę kozacką i tatarską, która wraz z całym wojskiem królewskim podała go nakoniec w niebezpieczeństwo oblężenia pod Żwańcem. Ona też nastęrczyła młodemu sposobność odznaczenia się nie tylko męstwem i dzielnością jak dotąd, lecz zarazem ochotą do ofiar z wolności i dóbr.

W połowie grudnia 1653 powio-

dło się obłożonemu pod Żwańcem królowi nakłonić Tatarów do ugody. Dla większego bezpieczeństwa traktatów potrzeba było zakładników z obojej strony. Tatarzy wysłali w tym celu Murtazę Agę, w obozie ofiarował się do tego młody Sobieski. W ciągu jego zakładniczej niewoli u Tatarów, stanął szczęśliwie pokój, pomyślny wprawdzie dla nieprzyjaciół, ale jeszcze pomyślniejszy zagrożonym zgubą Polakom.

Po zawartej dnia 17 grudnia ugodzie przyszło wyprawić posła od Rzeczypospolitej do Carogrodu. Najprzydatniejszym ku temu okazał się chorąży lwowski Mikołaj Bieganowski, mąż biegły w sprawach posełskich, lecz niezamożny. Pożądaną więc było rzeczą, aby przynajmniej które z przedniejszych panów królestwa podjęło się towarzyszyć mu z poczem świetniejszym. Ofiaro-

wał się do tego znówuż młody Sobieski, okryty niedawno banicją za niemożność uiszczenia się z długu, a gotów teraz nadwerężyć fortunę dla przydania świetności poselstwu ojczystemu.

Wdzięczne przyjęcie usługi pozwoliło mu przypatrzyć się wcześniej z najbezpośredniejszego pobliza temu potworowi ottomańskiemu, z którym przez całe życie tak głośne staczać miał boje — i już w rok po swojej pierwszej banicji wrócił młody starosta jaworowski pełnym znaczenia obywatelem w strony ojczyste.

Drugą sprawę tego rodzaju miał Jan Sobieski w roku w 1659 z klasztorem panien Karmelitanek bosych we Lwowie. Znane nam zapiski urzędowe nie wykazują wprawdzie przyczyny uzyskanego wówczas wyroku wywołania, ale wiele niemniej

pewnych skazówek zgadza się na to, że i tym razem szło tylko o nieuiszczoną wypłatę długu.

Klasztor Karmelitanek bosych z kościołem Oczyszczenia N. Panny, wznoszący się niegdyś w miejscu dzisiejszego seminarjum obrz. łacińskiego przy pałacu arcybiskupim we Lwowie, był fundacji Sobieskich. Założyli go w 1642 oboje rodzice Jana, ojciec Jakób, wojewoda podówczas ruski, i Teofila Daniłowiczówna. Akta grodzkie i ziemskie z tego czasu zawierają wiele dotyczących tej fundacji zapisów obojga fundatorów, między innymi Teofili Sobieskiej zapis rocznego czynszu 1050 złotych od sumy 15000 zabezpieczonej klasztorowi na dobrach Zboiska i Grzybowice, tudzież Jakóba Sobieskiego zapis rocznego czynszu 420 złotych od sumy 6000, zabezpieczonej na dobrach Glinne, Złoczówka i Kaplińce i t. p.

Pozostało Janowi po rodzicach mnogo zobowiązań podobnych. Mimo najlepszej atoli chęci trudno było czasem uczynić zadość obowiązkowi. Jak wszyscy możniejsi panowie owej, epoki, tak i starosta jaworowski doznawał niekiedy najdotkliwszego braku gotówki. Było to zwyczajną podówczas rzeczą, która zwłaszcza przy kilkakrotnem zniszczeniu całej furtuny Sobieskich podczas niedawnych wojen kozackich i tatarskich nie zadziwiała nikogo.

Mianowicie też rok 1659 okazał się przyciężkim szkatule naszego Jana, już teraz chorążym koronnym mianowanego. Wraz z mniszkami N. Panny pozywał go w tym roku także proboszcz oleski ksiądz Krzysztof Kłóński, i wygrawszy sprawę w pierwszych instancjach, groził kolatorowi swojemu uzyskaniem banicji. Przedmiotem sporu była suma 5000 złp., którą jeszcze nieboszczyk

pan kasztelan krakowski Sobieski zapisał kościołowi w Olesku, a z której ani ojciec ani syn nie uiścili się do tej pory. Przeto wydany został we Lwowie w dniach 21 i 22 lipca r. 1659 wyrok starościński w drugiej instancji, nakazujący niezwłoczną egzekucję należytości, a to prawem zajęchaniem czyli rumacją dziedzicznych dóbr chorążego.

Takąż a nie inną pretensję miały bezwątpienia także Panny Karmelitanki bose we Lwowie. Taż sama trudność zaspokojenia słusznych żądań klasztoru we Lwowie, fak i kościoła oleskiego nadała tenżesam obrót w sprawie. Ani w pierwszym ani w drugim terminie nie znalazły się pieniądze do wypłaty, ar nakoniec za dojściem sprawy pżzed trybunał koronny wypadł wyrok banieji.

Przyszło więc znowu starać się przed upływem dwunastu niedziel

o kasację wyroku. Pierwszym do tego krokiem było jak zawsze uspokojenie strony skarżącej, następnie pozew o unieważnienie uzyskanego przez nią wyroku. Jednemu i drugiemu stało się tym razem z większą jeszcze dokładnością zadość niż w poprzednim zatargu z Askmanickim.

Panny Karmelitanki odniosły żądaną sprawiedliwość, a przy oznajmieniu wydanego im pozwu o kasację banicji, sam Jan Sobieski według litery prawa winien był stanąć osobiście w progach grodu lwowskiego i podpisać się własnoręcznie w księgach sądowych. Opiewał dotyczący paragraf konstytucji sejmowej z roku 1616 jak następuje: „Powinien sam *jure victus* stanąć w grodzie przy woźnym, i *personaliter* pisany ma być. A ktoby tego sposobu nie zachował, takiego pozew i proces *ad cassandam ban-*

nitionem otrzymany, ważny nie będzie, ale banucija w mocy zostanie, którą starosta miejscowy exekwować powinien.“

Czego więc w sprawie z warcholem Askmanickim żadnego śladu w księgach grodzkich nie spotykamy, to z jaknajwiększą ścisłością dopełnieniem zostało w pojednaniu z szanownym klasztorem Panien Karmelitanek we Lwowie. Wyszedł w imieniu chorążego pozew do trybunału o zniesienie banuciji, a w przepisanym przeciągu jednej niedzieli, t. j. we czwartek dnia 26 czerwca 1659: stanął Jan Sobieski w towarzystwie woźnego przed sądem grodzkim we Lwowie dla oświadczenia pozwu. Woźny, imieniem Łuczka, syn kmiecy z Wołczyszczowie, wniósł stosowną relację, a trzydziestoletni chorąży koronny położył na akcie własną ręką czytelny dotąd podpis: „Jan Sobieski chor. kor.“

Takiem jedynie upokorzeniem kończyły się banicje niewinnie osławionego „Kaliguli“ żółkiewskiego, Kwit Panien Karmelitanek zniósł w trybunale tak groźną dla wyobraźni dzisiejszej karę. Wszakże nawet jako nierozgrzeszony jeszcze banita, nie był Jan Sobieski mniej przykładowym i pobożnym obywatelem, niżby może przystało. W tym samym roku 1659, kiedy probostwo oleskie i klasztor paniński we Lwowie tak uporczywie gniotły go procesami, założył Sobieski we Lwowie dla wysłużonych wojskowych kościoł i klasztor Bonifratrów, wznoszący się niegdyś przy ulicy Łyczakowskiej, w miejscu dzisiejszego szpitalu wojskowego.

W porównaniu z doraźną wypłatą kilkunastu tysięcy złotych w gotówce, było to dziełem nieskończenie łatwiejszem, gdyż wymagało zwyczajnie tylko zapisu ziemi, o wie-

le obfitszej i tańszej podówczas od pieniędzy. Dlatego nie szcędzono nigdy darowizn zapisowych, a w niedostatku gotówki przyszło nieraz zostać banitą.

Toż nie uwłaczając pobożnemu charakterowi takich wywołańców niewinnych, nie uwłaczało to również dawnym stosunkom przyjacielskim z stronami, które tak surowych kar nabawiły. Z mniszkami lwowskiemi pozostał Jan Sobieski nadal w najlepszem porozumieniu, nazywał je zwyczajnie „naszemi Karmelitankami”, pamiętał troskliwie o ich bezpieczeństwie w czasie niepokołów wojennych, przemieszkował chwilowo w ich klasztorze. Jego też staraniem i kosztem przyszła do skutku fundacja tego klasztoru, zaczęła według napisu na istniejącej dotąd tablicy przez rodziców Jakóba i Teofilę w 1642, a dokończona przez króla Jana III w r. 1692.

Mówią o tych Karmelitankach w kilku miejscach listy Jana Sobie-

skiego do żony, wydane tymi czasy w Krakowie. W nich też, jakby o rzeczy całkiem zwyczajnej, natrąca się wzmianka o trzeciej i najsurowszej banicji, bo nawet z infamją połączonej. Spadła ona na Sobieskiego w r. 1667, we dwa lata po osiągniętych już dostojenstwach w. marszałka i hetmana w. kor., w siedem lat przed osiągnięciem korony. Uzyskał ją był na Sobieskim chorąży sandomierski, Marcin Dębicki, mający do pana marszałka i hetmana znowu pewną pretensję pieniężną, a wrogimi mu przytem jako przeciwnik tak zwanej fakeji dworskiej.

Pod tym ostatnim względem należała sprawa pana chorążego sandomierskiego z marszałkiem w. i hetmanem koronnym do najciekawszych sporów swojego czasu. Była to walka dwóch stronnictw politycznych tej pory, przeniesiona z bojowiska zakończonej właśnie wojny domowej na pole rozpraw sądowych. Jak

w Janie Sobieskim widziano powszechnie jednego z najpotężniejszych obrońców dworu, tak przeciwnie, chorąży sandomierski Dębicki liczył się do głównych popleczników strony przeciwnej, gardlujących najgłośniej w obronie mniemanych swobód narodu. Lubo słusznie dziś zapomniany, napotyka się on w tym charakterze dość często na kartach kronik i pamiętników ówczesnych, zwłaszcza w początkach panowania Jana Kazimierza i Michała Wiśniowieckiego. Możliwe owszem podziwiać w nim niezbyt zaszczytny przykład obywatela, który niczem innym jak tylko gardłowaniem urósł znacznie pomiędzy swymi i narzucił się pamięci.

Przypominając sobie niektóre z charakterystyczniejszych jego występów, widzimy go w r. 1651 po bitwie beresteckiej hersztem nieszczonego rokoszu obozowego, który zniweczył wszelkie skutki zwy-

cięstwa. W następnym roku 1652 na sejmie po skazaniu Radziejowskiego, popierał Dębicki, wówczas dopiero podczaszy sadomierski, najzarliwiej sprawę wywołanego podkanclerzego, i mieszając coraz bardziej obrady, dopomógł do fatalnego zerwania sejmu. Na ostatniem zaś sejmie za Jana Kazimierza protestuje chorąży sadomierski przeciwko abdykacji, i paragrafami paktów konwentów chce zmusić króla do zatrzymania korony. W roku 1670 przy scenie pojednania króla Michała z arcybiskupem Prażmewskim, naprzykrza się chorąży arcybiskupowi uszczypliwemi raz po raz przymówkami, które go nabawiają surowej odpowiedzi arcybiskupa i śmiechu wszystkich przytomnych.

Marszałek w. Sobieski uchodził za spółnika arcybiskupa w nieprzyjaźnych królowi Michałowi zamyślach. Z niemniejszą też zawzięto-

ścią popierał chorąży zapewne wytoczoną mu sprawę sądową. Chodziło zaś o kilkanaście czy kilkadziesiąt tysięcy złotych, w których Jan Sobieski zapisał się chorążemu za Hieronima Radziejowskiego. Bawił już Radziejowski od lat pięciu w ojczyźnie i broniony niegdyś tak żarliwie przez chorążego na sejmie, winien mu był teraz znaczną sumę pieniężną. Że jednak nie miał z czego zapłacić, wyręczył go zapisem marszałek i hetman w. Sobieski, blizkiem pokrewieństwem związany z Hieronimem.

Urodził się bowiem Radziejowski z Katarzyny Sobieskiej, córki wojewody lubelskiego Marka, i był przeto ciotecznym bratem Janowi. Wszakże za swoją gotowość do podania ręki krewnemu nabawił się Sobieski ciężkich kłopotów od chorążego. Nieubłagany przeciwnik faksji francuskiej zażądał wypłacenia

pieniędzy, których niedostatek przywiódł do sprawy w trybunale. Zawarte o niej wzmianki w listach Sobieskiego do żony podają w tej mierze, co następuje.

Dnia 19 maja r. 1666 uwiadamia pan marszałek w. kor. swoją najśliczniejszą duszy i serca pociechę,“ iż mu grozi wielka sprawa z chorążym sandomierkim. W kilka miesięcy później, dnia 23 września tegoż roku czytamy: „A. Mr. Radziejowski proszę racz Wc. mówić moja panno, że nam Pielaskowice przyjeżdżano znowu zajeżdzać z dekretu trybunalskiego, a to w sprawie z panem chorążym sandomierskim.“ Przez cały rok następny toczyła się sprawa dalszą koleją, a dnia 15 grudnia 1667 pisze Sobieski, iż chorąży przewiódł na nim prawo w Lublinie. W skutek tego wypadł wyrok banicji i infamji, dla której marszałek i hetman w. kor. według li-

stu z dnia 10 kwietnia 1668 nie mógł pierwszej jechać na sejm i zająć tam miejsce w senacie, dopóki nie wypłaci 12000 chorążemu.

Owoż wiadoma z historii obecność Sobieskiego na sejmie w początkach roku 1668 przekonywa o dopełnieniu poprzednio zaspokojeniu wymagań chorążego, o zniesionej temsamem banicji i intamji. Była zaś obecność Sobieskiego na tym sejmie niezbędną z tej przyczyny, iż miał zdawać sprawę z ukończonej właśnie wojny i ugody z Orda pod Podhajcami. Jednocześnie bowiem z rzuconą nań w trybunale infamją okrył się Sobieski sławą najpierwszego ze swoich wielkich tryumfów nad pogaństwem i wstąpił właśnie na tę drogę chwały i przeznaczenia, która w tak krótkim czasie doprowadziła go do tronu i nieśmiertelności. W połowie października r. 1667 zmusił Sobie-

ski prawie cudem powstrzymanych Tatarów do opuszczenia ze stratą obozu podhajeckiego i całej ocalonej Rzeczypospolitej, i w tychże właśnie tygodniach odniósł nad nim chorąży sandomierski swoje zwycięstwo trybunalne, odsadzające Sobieskiego od praw obywatelskich i czei.

Takim sposobem wszystkie banicje Sobieskiego nietylko żadnego moralnego wykroczenia w nim nie karały, lecz jakby umyślnem zrządzeniem losu łączą się zawsze z jakimś czynem chwały lub pobożności. Pod wyrokiem pierwszej banicji naraża się młodzieniec dobrowolnie na niebezpieczeństwo zakładu u niewiernych; gdy druga banicja na nim ciążyła, funduje chorąży kor. klasztor z przytułkiem dla starości i nędzy; trzecią przyciśniony banicją, ocala kraj i dopełnia całkiem nieznanego dotąd aktu bogobożności, t. j. odbywa dawno ślubowaną

pielgrzymkę do stolicy świętego Piotra. O tym to czynie pobożnym mowa nam teraz.

* * *

Nie znalazłszy w Janie Sobieskim żadnej winy jako w banicie, znajdujemy w nim tem więcej zasługi jako w pielgrzymie. Odbył on swoją zapomnianą dziś drogę rzymską w wieku późniejszym, zniewolony do tego ślubem lat młodych. Był to ślub wdzięczności za podwójne ocalenie od śmierci, bo naprzód od ciężkiej choroby we Lwowie na wiosnę roku 1652, a zarazem od pewniejszej jeszcze zguby w strasznej o tymże samym czasie rzezi tatarskiej pod Batowem, której młody starosta Jaworowski jedynie tem uniknął, iż złożony długą chorobą w domu, nie mógł towarzyszyć bratu na wojnę.

Dwudziestoczeroletni brat Marek zginął na krwawych polach batowskich, młodszy o piętnaście miesięcy Jan odzyskał szczęśliwie zdrowie i miał nadto podziękować Bogu za poniewolną nieobecność w bitwie morderczej. Owszem od niewielu miesięcy było już trzeci znak jawnej łaski Bożej nad Janem, również cudownie ocalonym w zeszłorocznej bitwie pod Beresteczkiem. Oto kilka społecznych wyrazów o tym podobnieź nieznanym dotąd szczególe. Skreślił je człowiek niedługo potem zmarły, a tem samem niezdolny przewidzieć jeszcze losów młodzieńca, o którego uratowaniu tak pożądaną zostawił wzmiankę.

„Trwał bój krwawy niemal dwie godziny“ — czytamy w djarjusz Stanisława Oświecima o wtórym dniu bitwy beresteckiej czyli dnia 29 czerwca 1651 — „z wielką naszych szkodą, których ochota rycerska

trochę dalej niżeli było potrzeba bez posiłków uniosła i siła ich na placu legło...

Sobieski, starosta jaworowski, już od pogan był zagarniony, ale cudownie od nich eliberowany... i wzięto jednego znacznego murzę młodego, który zajeżdżał pana starostę jaworowskiego, jegoż towarzystwo żywcem pojął.

W rok później, tegoż samego miesiąca czerwca, w którym Jan pośród trzasku piorunów przyszedł na świat w zamku oleskim, i którego stoczona została bitwa pod Beresteczkiem, uszedł on także śmierci na łożu we Lwowie i w obozie batowskim. Widoczny w tem wszystkim palec Boży przeniknął do głębi myśl i serce młodego wojownika. Od najwcześniejszych lat nauczył się Jan Sobieski wierzyć w osobliwszą opiekę niebios i upa-

trzone w tem przeznaczenie do niezwyčajnie wielkiej przyszłości.

Okazuje się to n. p. ze słów samego króla Jana III, który w známym urywku o rodzie i życiu swoim powiada, iż go losy albo raczej wola Boża od tej zguby zachowały“ — a w djalogowym pamiętniku społecznego autora, pod tytułem „Rozmowy zmarłych Polaków“ jeszcze charakterystyczniej dodaje: „I to był pierwszy znak woli i Opatrzności boskiej, że mnie destynowała na wielkie rzeczy, kiedy mi chorobę przysłała i do łózka przykowała. Inaczej zdrowy poszedłbym ochotnie tak jako i brat mój i zginąłbym był tak jako i brat.“

Wśród takich okoliczności nie powszedniejszego w onem stuleciu jak zobowiązać się Bogu pewnym słubem dziękczynnym. Młody starosta jaworowski ślubował pielgrzymkę do progów apostołskich. Na-

stąpiło to przyrzeczenie jakoś w porze zimowej między rokiem 1652 a 1653. Wpłynęła na nie zapewne rada pobożnej i ukochanej ciotki Doroty Daniłowiczówny, ksieni klasztoru panien Benedektynek we Lwowie, która niemniej czule od matki pieczołowitemu Janowi stała się najdroższą osobą w całej rodzinie, prawdziwą powiernicą najskrytszych uczuć. Zaledwie też młody Sobieski doszedł tymi czasy pełnoletności, pierwszym czynem jego zupełnej samowładzy znamy bogatą darywiznę na rzecz ukochanej ciotki Doroty i jej klasztoru panińskiego we Lwowie, zeznaną w aktach ziemstwa lwowskiego pod dniem 26 czerwca roku 1653.

Łatwiej wszakże było młodemu ślubować wówczas pielgrzymkę rzymską, niż znaleźć porę do jej podjęcia. Tuż po ślubie złożonym, przyszło Janowi odbyć półroczną wojnę

żwanięcką i towarzyszyć następnie wielkiemu poselstwu królestwa do Carogrodu. W samej porze jego legacji carogrodzkiej wybuchła r. 1654 wojna moskiewska, do której roku 1655 przybyła najstraszniejsza ze wszystkich — szwedzka. Gdy zaś po ośmiu latach ciągłego poszczęku broni i ciągłych obowiązków wojennych stanął w roku 1660 traktat oliwski ze Szwecją, a r. 1664 chwilowy rozejm z Moskwą, zaniósł się w roku następnym na dwuletnią wojnę domową z Lubomirskim, wymagającą aż po koniec r. 1666 ciągłej obecności Jana Sobieskiego przy hoku króla.

Takim sposobem szło w coraz dalszą odwłokę spełnienie ślubowanej pielgrzymki rzymskiej. Już lat czternaście mijало, a cudownie zachowany brat Marka chodził jeszcze w swoim ślubie pobożnym. Już znaczna część spodziewanych zna-

ków łaski niebieskiej ziściła się na Janie, a dług dawnej wdzięczności ciężył jeszcze niewypłacony niebiosom. W ostatnim lat dziesiątku pobłogosławił Pan Bóg Janowi dalszem zachowaniem go od wszelkich niebezpieczeństw wojennych, przychyleniem mu najwyższych dostojęństw kraju, wysłuchaniem najgorętszych prośb jego serca.

Owszem, jak w całym życiu Sobieskiego pełno znamion kierującej nim cudownie Opatrzności, tak i te nader cenne dla niego dary spłynęły nań razem, niespodziewanie, jakby cudownem zrzędzeniem niebios. Jednego i tego samego 1665 roku zostaje dotychczasowy chorąży koronny najprzód marszałkiem wielkim, następnie hetmanem polnym koronnym, wreszcie po dziesięcioletniej beznadziejnej miłości małżonkiem świeżo owdowiałej wojewodziny sandomierskiej Marji Kazimierzy Zamoj-

skiej. Zdało się, jakby niebo po długiem oczekiwaniu utrudnionej przeciwnościami pielgrzymki chciało obsypać go szczęściem na próbę, czy terażniejsze upojenie rozkoszami ziemskiem nie przytępi mu do reszty uczucia obowiązku względem sprawcy wszelkich cudów i wszelkich łask.

Ale Jan Sobieski okazał się godnym ręki, która go prowadziła. Odroczywszy tak długo pielgrzymkę rzymską dla pełnienia tymczasem wiernych usług ojczyźnie, nie ociągał się dłużej z wypełnieniem obowiązków dla dogodzenia szczęściu swojemu. Pierwsza chwila wewnętrznego i zewnętrznego spokoju kraju przeznaczoną została do uiszczenia zaprzysiężonej od tak dawna ofiary.

Była to długa chwila między upływającym właśnie rokiem 1666, a wiosennymi wypadkami w roku na-

stępnym. Nie brakło wprawdzie i pod tę porę niebezpieczeństw nad krajem, lecz po nieskończeniu sroższych doświadczeniach niedalekiej przeszłości można było patrzeć na nie bez trwogi. Ucichła właśnie burza nagłego zagonu Tatarstwa aż pod Kamieniec i dalej, o której listy warszawskie z dnia 1 i 8 stycznia 1667 mówią jako o minionej już rzeczy. Wtedy też zakończył się rozpoczęty roku zeszłego sejm, w miejscu którego miał na wiosnę odbyć się nowy. W tejże nareszcie porze rozpoczęły się traktaty ostatecznego pokoju z Moskwą, zawartego istotnie w Andruszowie pod koniec stycznia roku 1667.

Mógł więc marszałek w. kor. znaleźć chwilkę swobody do spełnienia obietnicy pobożnej. A co przez tak długie odwlekało się czasy, to na koniec wcale niespodziewanym sposobem przyszło do skutku. Zamiast

odbyć pielgrzymkę obyczajem swego czasu i stanu, t. j. dworno, uroczyście, powolną i okazałą podróżą, wypadło Sobieskiemu użyć jak największego pośpiechu, a temsamem rzec się wszelkiej wystawności i pompy. Za lada trawką wiosenną mogli Tatarzy okazać się na nowo w dzikich polach, a w takim razie pobożność hetmana polnego w odległych stronach wcale niepożądaną cerkwiom ukraińskim i całemu chrześcijaństwu była przysługą.

Słusznaby nawet mniemać, iż dla omylenia czujności nieprzyjaciół umyślił Jan Sobieski odbyć swoją podróż całkiem kryjomo. Odpowiadał pośpiechowi i tajemnicy najlepiej sposób podróżowania pocztą, nieużywany wprawdzie dotąd przez pobożnych magnatów polskich, ale nader dogodny w położeniu obecnem. Jedynie też taką jazdą po-

cztową można było stanąć w Rzymie na termin naznaczony od dawna wykonaniu pielgrzymki. Pragnął bowiem marszałek w. kor. nawiedzić stolicę apostolską w uroczystość katedry św. Piotra, przypadającą ówczesnym zwyczajem na dzień 18 stycznia, a jeszcze w drugiej połowie grudnia r. 1666 bawiąc we Lwowie, jakimże innym sposobem zdołałby był Sobieski dopiąć życzenia?

Zgodził się tedy na niezwykajny rodzaj pielgrzymki pocztą, i zjechawszy około 20 grudnia 1666 r. do stolicy województwa ruskiego, zajął się w milczeniu najpotrzebniejszymi przygotowaniem do drogi. Tak wielki przytem panował pośpiech, iż nie pozostało nawet czasu do zażądania woli królewskiej. Musiał wystarczyć list marszałka w. kor. do króla, oznajmujący jego nieodzowną podróż do Rzymu, z

przrzeczeniem rychłego powrotu do dalszych usług. Zwyczajnym Janowi Sobieskiemu duchem bogobojuści natchnione, brzmiało to pismo jak następuje.

List do króla JM. od Jaśnie wielmożnego JEMci Pana Marszałka wielkiego kor. wyjeżdżając do Rzymu 1667 roku.

„Uczyniwszy od lat prawie czter-nastu ślub po mojej wielkiej chorobie do progów apostolskich, nie przyszło mi do wykonania tego winnego Bogu i stolicy świętej długu dla consideraczej samej usługi W. K. M. na przeszłych sejmach tak potrzebnych, na których wisiała sława wielkiego imienia W. K. M., i dobra publicznego, o których niejedne wieki długo mówić będą. Teraz nie chcąc dłużej odkładać com

Bogu obiecał, ani przewalać do lat późniejszych usprawiedliwienia się winnego, a widząc czas wolny, biorę Posztę, abym w kilku niedzielach mógł to wykonać, i na Wielką Noc do usługi W. K. M. powrócić, założywszy sobie termin stawienia się w Rzymie na uroczystość katedry św. Piotra. Ufam tedy mocno, że W. K. M. Pan mój miłościwy, jako wielkiej pobożności pan, miłościwie przebaczyć będziesz raczył tak pobożnej i godnej uwzględnienia potrzebie wiernego i uniżonego sługi swego, ani poczytasz za winę, że sam osobiście nie upadam pokornie do nóg jego pańskich dla krótkości terminu mego. Wszakże i tam jeśli gdzie westchnienia moje będą: wylewać onych nie przestanę, za Conservatią wielkiego Imienia, Osoby i szczęśliwego panowania W. K. M. Którego jestem wszędy, zawsze i dożywotnie...

Stało się też niezawodnie według zamysłu pobożnego. Za wiedzą jedynie kilku poufnych osób znikł Jan Sobieski na kilka tygodni z Polski, goniąc w dojrzałym wieku za ziszczeniem ślubu młodzieńczych lat. Podczas gdy wszyscy mniemali go w Żółkwi lub w Jaworowie, u boku niedawno pojętej żony, on po wybornie znanej Polakom drodze cwałował pocztowymi końmi na Wiedeń, Friul, Weronę do wiecznej Romy. Po uderzeniu tam czołem o progi apostolskie, po jednym z owych gorących westchnień piersi pobożnej, jakie oprócz niego niewielu zapewne przyszłych królów wysyłało w niebiosą, również szybka podróż wróciła bohatera ojczyźnie. Dnia 21 grudnia 1666 roku widzimy go jeszcze urzędującym we Lwowie, a w połowie maja 1667 r. dowodzi on znowuż wojskiem w pobliżu Lwowa, przygotowując się do

sławnej wojny podhajackiej w tym roku.

Wierne bowiem spełnienie dawnego ślubu odwdzieczyło się hojnym błogosławieństwem Janowi. Właśnie w porze jego podróży rzymskiej zakwakowała w. buława koronna, opróżniona śmiercią hetmana Stanisława Rewery Potockiego dnia 23 lutego 1667 r. Z wziętą po nim buławą w rękę, stanął Sobieski tuż za powrotem z pielgrzymki do pierwszego z tych wielkich bojów z pogaństwem, które przez lat przeszło dwadzieścia roznosiły odtąd sławę jego imienia po całym świecie, rozbijały i rozbiły pęta niewoli ottomańskiej nad Europą. Podhajce, Katusz, Chocim, Żurawno, Wiedeń — obok tych wawrzynów w zwycięskiej walce o swobodę i bezpieczeństwo półświata, czemże sama korona polska, którą, już w 7 lat po nagłej drodze rzymskiej uwieńczył naród swego

pielgrzyma?... Tylko przywiązany do niej charakter nagrody za ocalenie ojczyzny może postawić ją na równi z owymi wawrzynami w obronie chrześcijaństwa.

U Podhajec, pod Chocimem i Wiedniem widział Sobieskiego z zdumieniem świat wszystek — w Rzymie u progów apostoelskich tylko Pan Bóg nań patrzył. A przecież nie urojeniem będzie uwierzyć, że ta chwila wywiązania z dawnej niebiosom obietnicy, ta chwila złożenia u podnóża ołtarzów rzymskich ciężącego na nim od tak dawna długu wdzięczności, przyczyniła się potężnie do rozwinięcia w nim owych skrzydeł natchnienia, które później wznieść go miały tak wysoko na polach chocimskich i wiedeńskich.

Ale dla oczu ziemskich minęła niedostrzeżenie ta chwila. Żaden z dotychczasowych biografów Jana Sobieskiego nie zna jego dorywczej

pielgrzymki rzymskiej. W żadnem ze znanych źródeł owego czasu nie przypomina się nam najdalsza wzmianka w tej mierze. Tylko ów przypadkiem natrącony list Sobieskiego do króla, tak przekonująco swojemi znamionami autentyczności i zgodą wszelkich zawartych w nim szczegółów życiorysu i wypadków bieżących, pozostał jedy-nem, lecz dostatecznem świadectwem.

Nie zwrócono na nie żadnej do-tąd uwagi, ponieważ w ogólnym nadpisie dokumentu „List w. marszałka kor. do króla o drodze rzym-skiej r. 1667.” — nie uderzyło od razu nazwisko Sobieskiego, nigdy z jakimkolwiek wspomnieniem po-dróży do Rzymu niełączone. Oprócz bijącej zaś z samego listu prawdy zdarzenia poświadczą ją naszym zda-niem najlepiej to, co na pozór mogłoby osłabiać wiarę w rzeczy-

wistość wypadku — t. j. zupełny brak wiadomości o Janie Sobieskim w trzech pierwszych miesiącach r. 1667. Zbývá wprawdzie na wszelkich bliższych wskazówkach o drodze rzymskiej w tej porze, ale niema też zarazem śladu jakiegokolwiek czynności jego natenczas w Polsce. — Jan Sobieski był nieobecnym podówczas w Polsce, pielgrzymując pocztą do progów rzymskich.

Tak w jednym i tym samym czasie r. 1667 widzimy naszego Jana pobożnym wędrowcą do stolicy św. Piotra, pogromcą pogaństwa na polach podhajeckich, wywołańcem w trybunale lubelskim. Tylko główny z tych trzech wypadków bogdaj częściowo jest oceniony, dwa podrzędne świeżo z ukrycia wyszły, a wszystkie razem dotyczą nie najgłośniejszej w dziejach naszych postaci, na pozór tak dokładnie już zna-

nej. Ileż równie ciekawych niespodzianek czeka nas jeszcze w coraz jaśniej rozwidniającym się mroku tych dziejów — w nieprzejrzanym lesie tych aktów, listów, zapisków pamiętnikowych, które niezliczonymi stosami i plikami rozrzucone po wszystkich kątach, ukrywają w sobie całą drugą połowę historii naszej, całą historję społeczną, rodzinną, obyczajową. Dopiero po zupełnem przeniknięciu tych gęstw in leśnych, po przekarczowaniu tych nieprzejrzaných zarośli, odsłonią się nam tysiące nowych widoków na przeszłość naszą, nabędą wyrazu i świeżego wdzięku widoki dotychczasowe, zrozumiemy niejedno, co dotąd zagadką lub złudzeniem. Do archiwów więc, do aktów i rękopisów po światło! — do pracy żmudnej i długiej, ale jakże bogatej w plony oku zdrowemu.

Wnuka króla Jana III.

Po śmierci króla Jana III rozprószył los w dziwny sposób jego rodzinę. W niespełna 20 lat od zgonu ojca każda z pozostałych sierót w innej żyła ustroni. Wdowa królowa, Marja Kazimiera, przeszła siedmiesięcioletnia matrona, spędziwszy kilkanaście lat w Rzymie, oczekiwała śmierci we Francji, w zamku Blois. Najmłodszy z synów, Konstanty, pozostał w ojczystym gnieździe, w Żółkwi. Średni, Aleksander, żywy obraz zmarłego króla, gościł w Rzymie w klasztorze Kapucynów.

Najstarszy wreszcie, królewicz Jakób, zaślubiony z księżniczką Palatyńsko-Neoburską Jadwigą, mieszkał na Ślązku, w mieście Olawie, wypuszczonem mu ugodą familijną od szwagra, cesarza Leopolda.

Oprócz młodo zmarłego syna, Jana, nie dał Pan Bóg męskiego potomstwa dworowi olawskiemu. Przyzdabiały go za to trzy piękne córki, Kazimiera, Karolina i Klementyna. Najstarsza z księżniczek, Kazimiera, wychowana przy babce w Rzymie i w Blois, miała w porze naszego opowiadania lat dwadzieścia i trzy; młodsza Karolina, poślubiona później z kolei dwóm z królewskim domem Francji spokrewuionym książętom de Bouillon, liczyła lat dwadzieścia; najmłodsza Klementyna zaczęła rok siedemnasty. Przez swoją matkę Jadwigę, której jedna rodzona siostra była za cesarzem Leopoldem, druga za hiszpańskim

królem Karolem ,trzecia za Piotrem portugalskim, zostawały wszystkie trzy wnuczki Jana III w stosunkach blizkiego powinowactwa z najpierwszymi dworami europejskimi. Z tym blaskiem urodzenia łączyły wszystkie najpiękniejsze przymioty duszy. Najstarsza siostra zdołała już w latach dziecięcych wzbudzić swoją bystrością umysłu podziwienie papieża Klemensa XI. Najmłodszą z sióstr Klementynę, bohaterkę szkicu naszego, córkę chrzestną tegoż papieża, od którego także otrzymała swe imię chrzestne, obaczym w końcu wzorem cnót chrześcijańskich. W obecnej porze młodości nie umiano nachwalić się jej wdzięków. Nie był więc bez powabu książęcy dwór w Oławie.

Owoż do tego dworn przybył w lipcu roku 1718 nieznanym nikomu cudzoziemiec, irlandzki szlachcic Murray, niosący ważną domowi

wieść. Zawierała ona prośbę młodego Jakóba Stuarta, uważanego w całej zachodnio-południowej Europie za prawego króla W. Brytanji, o rękę najmłodszej z księżniczek, Klementyny. Lubo Stuartowie żyli obecnie na wygnaniu, czyniła ta odezwa wielki zaszczyt Sobieskim. Królewski ród Stuartów był dla całego katolickiego świata przedmiotem najgłębszej czci. Nad wielkość światową, nad blask trzech okazałych koron, świeciła w nim rzadka gorliwość religijna. Już piękną a nieszczęśliwą Marję Stuart, surową katoliczkę, prześladowaną i zgubioną przez stronnictwo protestanckie, otaczał poniekąd urok męczeństwa religijnego. Jej wnuk, angielski król Karol I, ścięty w rewolucji z roku 1649, przyplącił życiem swoją przychylność ku wyznaniu katolickiemu. Młodszy syn tegoż Karola, późniejszy król Jakób II, wróciwszy do

korony, wolał na nowo pójść na wygnanie, niż ostygnąć dla swojej wiary. Żyjąc na ziemi francuskiej, wychował on w tych samych zasadach swojego syna Jakóba, naszego przyjaciela Sobieskich. Młody Stuart, po śmierci ojca przez wszystkie prawie katolickie dwory prawym monarchą Anglii uznany, nie odrodził się od swoich przodków. Pobożny, łagodnego usposobienia, słodki w życiu, trwał on wiernie w katolicyzmie. Na tronie angielskim siedziała jego rodzona siostra Anna, oddana wyznaniu anglikańskiemu. Gdy mu ze strony siostry zaofiarowano następstwo tronu, byle zmienił wyznanie, Jakób wzgardził ofiarą. To podwoiło powszechne dlań uwielbienie, lecz nie prześlagało losów przeciwnych. Po niedawnem zawarciu pokoju między Anglią a Francją, utracił młody Jakób dyplomatyczną opiekę Ludwika XIV. Pozostały mu

jeszcze spólczenie stolicy apostoł-
skiej, życzliwość katolickiej Hiszpa-
nii i wierność starodawnego stron-
nictwa w Anglii i Szkocji. Polega-
jąc na tej podporze, umyślił młody
Stuart, dwoma laty przed ślubnem
poselstwem do Olawy, wystąpić z
swojem prawem przeciwko następcy
królowej Anny, Jerzemu Hanower-
skiemu, dalekiemu bratankowi domu
Stuartów. Nie sprzyjało mu prze-
cież szczęście tym razem. Stronni-
ctwo króla Jerzego przeważyło sza-
lę na swoją stronę. Jakób musiał
wrócić do Francji. Przyłgnęła mu
odtąd smutna nazwa pretendenta.
Opuszczony od Burbonów, udał się
wygnaniec królewski pod opiekę
dworu rzymskiego. Panujący jesz-
cze Klemens XI, zaprosił go naprzód
do Awinionu, potem do Włoch. Przy-
jęty tam z wszelkimi honorami kró-
lewskimi, otrzymał młody Stuart
zapewnienie corocznych sum ze skar-

bu papieskiego i świetną rezydencję w Urbino. Nim zaś przyszłe wypadki miały mu ułatwić powrót do tronu, zależało opiekunom i stronnikom Jakóbowym na zabezpieczeniu potomków sprawie królewskiej. Wszczęły się więc zabiegi o wyswatanie króla. Wchodziły w to rady i propozycje różnych dworów przyjaznych. Stolica apostolska oświadczyła się za rodziną Sobieskich, mianowicie za młodszą z córek królewicza Jakóba, księżniczką Klementyną. Obraz, jaki o niej zrobiono Jakóbowi, wzbudził w nim szczerą skłonność. Późniejsze okoliczności zamieniły to uczucie w najwyższą z obojej strony miłość. Przekonują o tem wszelkie kroki Jakóba, wszelkie wyrazy jego listów, całe domowe pożycie obojga w latach następnych, osobliwie zaś upewnienia świadków naocznych, nawet takich, którzy byli przeciwni połącze-

niu się młodego króla z Sobieską, a których zdaniem można mu było tylko jedną zarzucić wadę t. j. zbytecznie przywiązanie do Klementyny. Z prawdziwą tedy obawą serca, wyprawił Jakób z Urbino (24 czerwca 1718 roku) do rodziców księżniczki Klementyny i do niej samej, listowną prośbę o rękę. „Dawno już“ — pisze Stuart do księżniczki w tym pierwszym liście — „przymioty twoje, Pani! i twa osoba, są celem uwielbienia mojego. Pochlebstwa i próżne słowa nie umiałyby zadowolnić duszy, jak twoja. Mam jednak błogą nadzieję, iż nie odrzucisz ofiary serca, które Ci się oddaje bardziej z skłonności niż z obowiązku, a które nie zna innego życzenia, jak tylko widzieć Cię zawsze szczęśliwą. Twoje cnoty, Pani! ściągają nowe błogosławieństwa na słuszną sprawę mojej i podwoją gorliwość i przywiązanie moich wiernych pod-

danych. Oby ten domiar osobistego szczęścia mojego stał się początkiem tej dalszej pomyślności, którą dzieląc wraz z tobą, cenilibym tylko o tyle, o ile ona Ciebie dotyczy...”

Żadne przeszkody nie przeciwiły się życzeniom Jakóbowym ze strony książęcego dworu w Olawie. Ojciec księżniczki, królewicz Jakób Sobieski, dawał mu od lat wielu dowody szacunku i życzliwości. Matka, księżniczka Palatyńska Jadwiga, na mocy dawnego skoligacenia rodziny Palatyńskiej z domem Stuartów, kuzynka Pretendenta, gotowa była wspierać go wszelkim swoim wpływem u córki. I taż córka narzeczcie, nie mogła prawdopodobnie zachować się obojętnie. Jej nadzwyczajna żywość uczucia, cechująca ją w całym dalszym przeciągu życia, jej młodociana wyobraźnia i poświadczona późniejszym życiem

wzniosłość umysłu, musiały upodobać sobie w obrazie tego rycerskiego, nieszczęśliwego młodzieńca, przynoszącego jej w darze berło trzech królestw, a proszącego ją o przychylność, jako o jedyną łaskę i pociechę w niedoli. Wiszący nad nim oręż prześladowania, wspaniała gra Fortuny, do jakiej zniewalały go losy, tem głośniej za nim w szlachetnem a śmiałem mówiły sercu. Głębokość i trwałość uczuć, jakiej księżniczkę później zdolną ujrzymy, wzmogły początkową przychylność z przeciągiem czasu w przywiązanie bez granic. Odpowiadając tedy wzajemnością królowi, poświęcała mu księżniczka całą duszę, na zawsze. A odpowiedź jej wypadła w istocie pomyślnie dla Jakóba. Księżniczka Klementyna została zaręczoną solennie Stuartowi.

Tak szczęśliwym początkom groziło przecież niemałe nadal niebez-

pieczeństwo. Przeciwnie Jakóbowi mocarstwa, zwłaszcza W. Brytanja, widziały z niechęcią zamysł jego zaślubin. Dwór austriacki, wspierany od Anglii w świeżo ukończonej wojnie hiszpańskiej, pozostawał w najściślejszym przymierzu z królem Jerzym. Królewicz Jakób Sobieski, tak swoim zamieszkanicem w austriackim podówczas Ślązku, jakoteż swoją familijną zawisłością od dworu cesarskiego, obowiązany był nie postanawiać o ręce córki, bez rady i zezwolenia w Wiedniu. Niezasiągnięcie zdania cesarskiego, wraz z sprzeciwieniem się całą sprawą widokom Anglii, narażyły projekt ślubny na gniewny opór Austrii i Anglii. Tak potężna opozycja była w stanie zgruchotać nierównie większe zamiary. Zamysł oblubieńców olawskich, jeśli nie chciał rozbić się o tę skałę, musiał niezwyklej używać ostrożności, mu-

siał najgłębszą osłaniać się tajemnicą. Stąd jeden skromny oddawca listu, Irlandczyk Murray, wierny towarzysz wyznania Jakóbowego, starczył za całą ambasadę swadziebną. Pakiety wiezionych przezeń listów musiały być niegrube, aby w razie potrzeby dały się ukryć z łatwością. Nakoniec uznano za rzecz stosowną, nie kłaść nawet podpisu w listach. Taka tajemniczość ubarwiła cały stosunek kolorytem romantyczności. Przeszkody zaostrzały moc pożądania. Najżywsze też wzruszenie serca przebija się we wszystkich listach Stuarta. „Jestem uszczęśliwionym“ — pisze on do księżniczki w 6 tygodni po pierwszym liście (3 sierpnia), odpowiadając na otrzymane już przyzwolenie z jej strony — „jestem pełen radości, jaką tylko ty, Pani, wzbudzić możesz, lecz jestem oraz pełen niepokoju i trwogi. To niech ma-

luje Ci stan, w jaki wprawiałaś mię twoim listem, w którym wyczytuję zapewnienie szczęścia mojego. Lecz szczęście to pozostanie tak długo niezupełnem, aż póki nie przyjdzie chwila, w której przy moim boku Cię ujrzę. Nie zwlekaj więc, (zaklinam Cię, o Pani!) dopełnić szczęścia mojego, i ponieważ wszystko, co tylko ma pozór niedoskonałości, byłoby niedogodnem Ciebie, dokończ, coś tak błogo zaczęła. Potrzeba, abyś nie tylko zezwoliła na rychły wyjazd, lecz abyś go owszem sama przyspieszyć chciała. Tylko to jedno może uskromić cierpienia twego wiernego sługi i wielbiciela. Przebacz otwartości listu mojego. Pochodzi ona z serca, wylanego dla Ciebie, Pani! A dając ten jedyny raz powodować się prośbą i radą moją, staniesz się na zawsze (że śmiem użyć tego wyrazu) panią swojej własnej i mojej woli...“

Również gorące prośby zasylał Jakób rodzicom. Stało się zadość w niedługim czasie. Mając wzgląd na niepodobieństwo przybycia Stuarda do Olawy, wyjechała królewiczowa Sobieska z córką do Włoch. Podróż odbywała się *incognito*. Miało ominąć Wiedeń. Dla uniknięcia uwagi zaniechano wszelkiej wystawności w podróży. Kilku przybożnych dworzan składało całą służbę. „Skromna biała suknia” — pisze narzeczony do ojca — „dostateczną jest w wielkiej żałobie mojej.” Wyprawiony naprzeciw damom poufnik Stuartów, niejaki p. de Hay, służył za przewodnika. Sam młody Stuart, oczekiwał oblubienicy w Bolonji.

W tem po całotygodniowej przerwie w korespondencji doszła go wiadomość, iż obiedwie damy zostały powstrzymane w Insbruku. Nie chciało im żadną miarą pozwolić dalej

do Włoch. Wracać z wstydem do domu nie chciały damy. Pozostawiono je więc w mieście pod strażą. Wypadek ten nie był zupełnie niespodziewanym. Nie przeszkodziło to przecież, iżby nie zabolął gwałtownie. „Pozwalam ci, Pani, wyobrazić sobie“ — przemawia Jakób w liście do narzeczonej, nazajutrz po otrzymaniu wieści bolesnej — „jak mnie dotknął ten cios. Nie chcę atoli szerzyć tu skarg i lamentów, na których zaprawdę nie zbywa, które przecież ani są godne, aby ci je składać w ofierze, ani w czemkolwiek przyniosłyby Ci ulgę. Tylko tę jedną niech mi wolno będzie zrobić uwagę. Oto teraz właśnie mamy sposobność okazać, iż obopólnie jesteśmy godni siebie. Okażmyż to naszą nieugiętą stałością i wytrwałością, którą przy łaskawej pomocy niebios złamiemy niewątpliwie wszelkie zawa-

dy, stawiane szczęściu naszemu. Serca nasze stworzone są dla siebie. Boskie i ludzkie prawa mówią za nami. Tylko nasza własna małoduszność byłaby w stanie rozerwać, co Bóg złączyć zamierzył. Błagam cię, Pani! więc i zaklinam: bądź stałą! Nie zezwól nigdy na bezowocny powrót do domu. Najmniejsza uległość w tej mierze wszystkoby zniweczyła. A stałością swoją, swoim (że tak powiem) uporem, wszystko pokonasz! Ale czemuż całe brzemię tego smutnego położenia spada na Ciebie samą!... Jeśli mniemasz, Pani! że obecność moja może być użyteczną, racz tylko skinać! Będę miał skrzydła, skoro przemówisz. Gdy idzie o przysłużenie się Tobie, niczem trudy, niczem niebezpieczeństwa. I wolałbym być więźniem razem z Tobą, niż panować bez Ciebie...“

„List W. K. Mości“ — odpowia-

da księżniczka w pięć dni później— „przyniósł mi wielką pociechę w smutku. Zatrzymują nas bez przyczyny. Mam przecież nadzieję, iż Bóg nie pozwoli dręczyć nas długo. Bądź więc cierpliwym, Panie! Przedewszystkiem nie narażaj się na daremne niebezpieczeństwa. Księżna matka moja, nie ustąpi w niczem, bądź pewien. Co do mnie, czuję zanadto mocno, iż tu idzie o szczęście moje i honor mój, abym nie miała naśladować jej wytrwałości. Zresztą i serce moje tak każe. Cokolwiek tedy stanie się, będę upartą do ostateczności i nie oddam ręki mojej nikomu, oprócz w. Król. Mości“.

Wszakże i przeciwnicy umieli być wytrwałymi. Nie pomogły najusilniejsze starania o uwolnienie księżniczek. Napróżno domagały się tego przesłane do Wiednia przedstawienia oblubieńca i ojca. Daremnie udał się Pretendent spiesznie do

Rzymu, prosząc papieża o protekcję. Klemens XI., główny skojarzyciel związku ślubnego, nie omieszkał wstawić się u dworu. Po zasięgnięciu listowych dowodów, iż księżniczka Klementyna z własnej, nieprzymuszonej woli uczyniła Jakóbowi przyrzeczenie małżeństwa i trwa stale w postanowieniu, nastąpiła powtórna odezwa papieżka. Wszelkie atoli zabiegi i przedłożenia pozostały bez skutku. Niewola księżniczek w Insbruku przeciągała się od miesiąca do miesiąca, przez całą zimę, aż do wiosny roku 1719.

W takim składzie okoliczności pozostawała tylko myśl o ucieczce. Powziął ją rychło Pretendent. Już w kilka tygodni po uwięzieniu nadmienił on o tem w liście do narzeczonej. Jednocześnie stanął w Insbruku śmiały powiernik Stuartów, Irlandczyk Wogan, mający wykraść księżniczkę. Ta jednak oznajmiła,

iz tylko za zezwoleniem rodziców opuści Insbruk. Rodzice zaś, z bardzo zrozumiałych skrupułów, czynili zrazu trudności. Chodziło więc naprzód o nakłonienie księstwa obojga. Użył Jakób najusilniejszych ku temu środków. W poufnej audjencji u papieża Klemensa XI., okazał listy księżniczki, przekonujące o ścisłości zawartych pomiędzy nimi ślubów. Ojciec św. uznał, iż w obec tak solennych z obojej strony zobowiązań się, żadne przeszkody nie powinny utrudniać drogi do błogosławieństwa u stóp ołtarza. Wyszedł zatem w tej myśli jeden nowy list do cesarza, żądający wolności dla narzeczonej; drugi zaś (10 grudnia) do jej ojca, królewicza Jakóba, przedstawiający mu, iż nie tylko nie ma prawa wzbraniać córce drogi do Włoch, lecz owszem ma powinność dopomódz jej do połączenia się jakimkolwiek sposobem z o-

blubieńcem. Podziękowała za to księżniczka swemu ojcu chrzestnemu Klemensowi XI. (25 grudnia), oddając się jego opiece i ponawiając przyrzeczenia wierności narzeczonemu. To dało powód do listu samegoż papieża (13 stycznia r. 1719) do księżniczki, w którym Ojciec św., obok nader łaskawych upewnień przychylności, utwierdził ją najmocniej w zamiarze dopełnienia coprędzej zobowiązań, będących w istocie, jak list papieżki wyraża się, „takiej wagi, iż uczyniwszy je raz, należy z narażeniem wszystkiego starać się o jak najrychlejsze przywiedzenie ich w skutek. Co do nas“ — kończy papież — „możesz W. Księżca Mość liczyć na to, iż nie przestaniemy wspierać jej w tej ważnej sprawie całą naszą powagą i usilnością, jako tego żądają po nas niezrównane zasługi króla angielskiego około kościoła i religii, tudzież owe

niemniej wielkie zasługi, jakie około obojga położył nieśmiertelnej pamięci króla Jana III, dziad W. Książęcej Mości".—Dopiero tak roztrząsający głos uchylił wątpliwości rodziców. Przystali oboje na projekt ucieczki córki do Włoch. Siedmastoletnia heroina tej niebezpiecznej przygody, gotowa poświęcić wszystko dla swoich słabów, pragnęła jak najspieszniej ulecieć z więzów. Nim jednak przyszło do czynu, zdarzył się niespodzianie wypadek, który ofierze Klementyny jeszcze nierównie większą nadać miał wartość.

W czasie jej siedmiomiesięcznego więzienia zanosło się na wojnę między Hiszpanią a Anglią. Każde przeciwne Anglii mocarstwo starało się o zawiązanie stosunków z Pretendentem. Hiszpania oświadczyła przed całą Europą zamiar przywrócenia go na tron przodków. W tym celu, wśród najskrzętniejszych zabiegów o

uwolnienie księżniczki, zaproszony został Stuart na dwór madrycki. Czekają go tam nadzwyczajnie świetne przyjęcie, czekała go korona. Młody Jakób nie mógł nie korzystać z pomyselnego zbiegu okoliczności, którym lada zwłoka groziła zgubą. Wszakże niezwłoczne udanie się z Włoch do Hiszpanii oddalało go od kochanki i to właśnie w tej chwili, kiedy ona z narażeniem życia i czci spieszyła do jego boku. W tak trudnym położeniu tylko wspaniałomyślna wyrozumiałość ze strony księżniczki mogła ocalić sprawę tronu i serca. Nie wiedząc, czy Klementyna uniesie się tem uczuciem, przebywał ulubieniec najboleśniejszą walkę między obowiązkami polityki a szczerem życzeniem serca. Małuje się ona w niespokojności, z jaką Stuart w długim nieśmiałym liście zapowiada księżniczce (7 lutego 1719) swój wyjazd do Hiszpanii. „Jakże

smutną i okropną dla mnie wiadomość” — opiewa początek listu— „muszę Ci donieść, moja najdroższa Klementyno! I w jakież sposób potrafię oznajmić Ci, iż w tej właśnie chwili, kiedy Twój ojciec bezprzykładnie szlachetnem postępowaniem daje mi najwyższy dowód heroicznej przyjaźni i wytrwałości—kiedy Ty pełną trudów i niebezpieczeństw ucieczką chciałaś dopełnić miary swoich łask dla mnie—kiedy stałość twoja miała zajaśnieć tak wielkim blaskiem i objawić się w tak czuły i zniewalający mię sposób—że w tejże właśnie chwili opuszczam Cię niejako, porzucam Cię na pozór, aby się w inny prawie świat udać. Oto nowina, której Ci mam udzielić. Zbierz, błagam Cię, całą odwagę swoją, i słuchaj mię z cierpliwością. Nie chcę tu rozwodzić się w rozmowaniach politycznych. Jakoż uwierzysz mi (jestem pewien) na słowo

wo, gdy Ci powiem, iż zostaję pod władzą tak przemocnej i nagłej konieczności, że nie uleczę jej, byłoby rzec się rozumu. Miłość moja dla Ciebie nie zna granic... Ale jakkolwiek Cię kocham, wolałbym stracić Ciebie, niż stać się niegodnym serca Twojego, nie spiesząc śmiało na stanowisko, które mnie wzywa.— Z takim to uczuciem poddaję się surowym wymaganiom wypadku, który ma wszelkie cechy romansu, wyjąwszy swoją wielką rzeczywistość...”

Nie mogąc powierzać listowi bliższego wyjaśnienia powodów tak nagłej podróży do Hiszpanii, rozpisuje się Jakób następnie o dalszych szczegółach spodziewanej ucieczki oblubienicy do Włoch. Celem jej podróży ma być Rzym. U granic państwa kościelnego spotka ją pan Murray, ów pierwszy poseł swadziebny do Olawy, mający upoważnienie zaślubić Klementynę w imieniu

Jakóba Stuarta. Wszelkie warunki tej prokuracji służą do zapewnienia bezpieczeństwa, przyszłości i posagu księżniczki. Sporządzony na jej korzyść testament przyszłego małżonka ma zastąpić przynależną z jego strony oprawę wdowią. Jako obrączkę ślubną pozostawia narzeczony księżniczce pierścień, jakiego niegdyś przy podobnymże akcie używał ojciec Jakóba, król Jakób II. Przybywszy do Rzymu obierze sobie księżniczka mieszkanie albo w pałacu swego małżonka, albo w którymkolwiek klasztorze, jako miejscu wolnem od wielu niedogodności ceremonialnych. Do usług swoich znajdzie księżniczka w Rzymie kilka znakomitych pań angielskich, między temi księżnę de Mar, małżonkę jednego z głównych przewodzców sprawy Jakóba, hrabinę de Nithsdail i panią de Hay. Panowie Murray i Wogan mają czuwać nad jej ucie-

czką i dalszym pobytem we Włoszech. W razie niepowiedzenia się ucieczki, sama tylko przyszłość okaże, co dalej czynić wypadnie. — „Zdaje mi się“ — kończy Jakób — „że nie mam nic więcej dodać do tego przydługiego już listu, jak tylko, pożegnać Cię, droga Klementyno! z całą miłością, jaką czuję dla Ciebie, i pozostawić Cię w ręku tej Opatrzności, której i ja z mojej strony powierzam się z ufnością. Twoja niewinność i cnoty Twoje (mam tę pewną nadzieję) otoczą mię błogosławieństwem niebios, na które ja sam nie zasłużyłem. Gdziekolwiek będę, jestem Twoim na wieki. Stałość Twoja będzie moja pociechą; niechże moja wierność będzie wazem podporą Tobie. Bylem Ciebie posiadał: dość dla mnie szczęścia. Bez Ciebie wielkość, nawet korona byłaby mi ciężarem. Obowiązek nakazuje mi ubiegać się za niemi;

w istocie jednakże mają one tylko tyle dla mnie powabu, o ile je z Tobą podzielać mogę. Przebacz temu wylaniu serca, które nie oddycha tylko Tobą, nie kocha jak tylko Ciebie, i tylko u Twoich kolan spoczynek znajdzie—co niebawem (tuszę) nastąpi. Odjeżdżam za chwilę, i żegnając Cię jeszcze raz, błagam, zaklinam Cię: spiesz czempędzej do Rzymu i ufaj mojej miłości.“

Potrzeba było zaiste tak czułych słów, aby pokrzepić serce księżniczki. Obarczyły ją bowiem młodą, prawie jeszcze dziecinną, ciężkie smutki i przeciwności, zdolne dojrzałą rozbroić duszę.—Coraz ściślejszy związek z świetnym, ale nieszczęśliwym imieniem doprowadził ostatecznie do potrzeby narażenia się na dwuznaczną, trudną przygodę. W chwili przygotowań do tej ofiary przedmiot, dla którego ponieść ją chciała księżniczka, znikal

jej z oczu. Wszystkie niebezpieczeństwa tej ucieczki, podjętej przez 17-letnią dziewczynę, samą jedną wśród obcych ludzi, wystawioną na długie trudy, na możliwość śmiertelnych zniewag, nie miały nawet tej jedynej nagrody, iżby ją nakoniec zaprowadziły w dom oblubieńca. Ustały nawet listy od niego, ustały wieści o nim. Wszelkie widoki osobistego z nim połączenia rozplywały się w cale mglistą niepewność. Owszem, nie obeszło się bez złośliwych pogłosek, utrzymujących za rzecz pewną, iż zaręczyny z Stuartem w nic się obróca, ile że narzeczony przed swoim wyjazdem do Hiszpanii rozkochał się w Bolonii, w córce możnego domu Caprara, i miał już nawet układać się o jej rękę. Ledwie wyraźne w tej mierze, zaprzeczenie, uczynione przez oblubieńca w jednym z poprzednich listów do ojca narzeczonej, niejaką sprawiło ulgę.

I trwał ten smutny stan niepewności przez długie trzy miesiące. Żaden przecież z tych wielu dni nie zachwiał stałości Klementyny. Codziennie oczekiwano przybycia tajnych wysłańców Jakóbowych, mających uwieźć skrycie więźnia pięknego. Różne przeszkody nie pozwoliły im zgłosić się prędzej w Innsbrucku. Musimy zapoznać się z nimi bliżej.

Jeszcze przed półroczem zlecił był Pretendent (jak wiemy) swojemu towarzyszowi wygnania, p. Wogan, sprawę uwolnienia księżniczki. Ówczesny opór rodziców nie odjął nadziei dopełnienia później życzeń królewskich. Tymczasem zwiedzał Wogan z kolei różne dwory książęce, szukając pomocników do swego trudnego a zwłaszcza podrzędnym sprawcom srodze niebezpiecznego dzieła. Znalazł on ich wreszcie w Alzacji, w pobliżkiem Strasburgowi

miasteczku Szelstadt, pomiędzy oficerami francuskiego pułku Dillon, rodowitymi Irlandczykami. Byli to kapitanowie Toul, Misset i major Gaydon, autor pamiętnika o ucieczce księżniczki, z którego głównie wiadomości nasze czerpiemy. Ponieważ ułożony przez nich plan przedsięwzięcia wymagał spółnictwa dwóch kobiet, więc wciągniono w spisek małżonkę jednego z kapitanów, panią Misset, która przybrała do pomocy swą pokojowę. Wszyscy byli całą duszą oddani sprawie Stuartów, a myśl, iż zrzecznością i odwagą swoją przysłużą się swemu prawemu monarsze, przyczynią się do ustalenia prawej dynastji, do przyszłego dobra ojczyzny i religji, nadawała całemu dziełu nieskończenie wielkiej w ich oczach wagi. Dobrze podówczas porozumienie Anglii z Francją i państwami Rzeszy niemieckiej nakazywało wszędzie

największą tajemnicę. Przedewszystkiem chodziło o przyzwolenie rodziców. Skoro tego w opisany powyżej sposób dopięto, zażądali powiernicy Stuartowscy od ojca narzeczonej w Olawie naprzód formalnego upoważnienia i pełnomocnictwa do uwiezienia córki, a zarazem listów do księżniczki i matki, zalecających posłuszeństwo radom głównego kierownika projektu, p. Wogan. Po nadejściu żądanych pism z Olawy wyprawił je Wogan do Insbruku, wraz z zapytaniem, kiedy dzieło wykonane być ma. Poczem całe grono sprzysięgłe wyruszyło (6. kwietnia) różnemi drogami i pod różnymi pozory z Szelstadu do Strasburga, gdzie miano czekać odpowiedzi z Insbruka. Jakoż po dniach dziesięciu przybył w istocie list od p. de Chateaudoux, poufnika księżniczek w Insbruku, wzywający jak najrychlej na stanowisko. Sprawiwszy sobie

tedy mocny berliński powóz, zao-
patrzywszy go w wszelkie przybo-
ry stosowne, wybrano się ostate-
cznie w podróż ku góróm tyrolskim.
Dla ostrożności rozdzielili się wszy-
scy sześcioro w kilka pomniejszych
grup. Kapitan Misset jechał zwy-
czajnie przodem, w towarzystwie
kamerdynera Stuartowskiego, imie-
niem Mitchel, obaj za kupców wło-
skich przebrani. Major Gaydon ucho-
dził w paszporcie za hrabiego de
Cernesse, pani Misset za jego żonę,
pokojowa za jej siostrę, a kapitan
Toul towarzyszył hrabiemu jako
rządca dóbr jego. Wogan, mogący
najprędzej obudzić podejrzenie, po-
dróżował pospolicie z osobna. Wy-
bierano zwykle różne popasy i noc-
legi, a zjechawszy się przypadko-
wo na jednej stacyi, udawano, że
się nie znają. W ten sposób przy-
byli wszyscy po tygodniowej po-
dróży w granice tyrolskie, do pier-

wszego prowincji tej miasteczka, Nazaretu. Kapitan Misset i Michtel pospieszyli przodem do poblizkiego Insbruku, uwiadomić tamże p. Chateaudoux o przybyciu orszaku. Co skuteczniejszy, wyjechali obaj o trzy dalsze stacje pocztowe do wioski Brenner, leżącej na szczycie góry tegoż nazwiska, i zatrzymali się tam pod pozorem słabości, aż do spodziewanego przybycia reszty towarzystwa z księżniczką. Tymczasem główny korpus przysięgły w Nazarecie, powziął wiadomość z Insbruku, iż księżna-matka pragnie jeszcze odroczenia dzieła o jeden dzień, tj. do czwartku 27. kwietnia. Byłoby bardzo zrozumiałem życzeniem serca macierzyńskiego, pragnącego bogdaj kilku godzinami opóźnić ostatecznie pożegnanie się z córką, przeznaczoną do przebycia ciężkiej, może śmiertelnej drogi. Mimo coraz groźniejszego w takim pobliżu nie-

bezpieczeństwa, dozwolono matce tej ostatniej pociechy, a wynikłej stąd zwłoki użyto do oswojenia pokojowej pani Misset, Joanny, z rolą, jaką miała odegrać. I oto, podczas gdy w więziennym domu insbruckim, srodze stroskana matka, nie mogąc nawet okazać żalu po sobie, prawdopodobnie na zawsze rozstawała się z córką — w gospodzie w Nazarecie przyjaciele księżniczki musieli w zabawny sposób łudzić wiejską dziewczynę, mającą nieświadomie dopomódz do jej ucieczki. Aż dotąd wiedziała Joanna tylko tyle, iż dla pewnych, nieznanych jej bliżej przyczyn, ma przedstawiać siostrę swej pani. Czyniła ona to nie bez ochoty, z wyjątkiem chwilowych niekiedy narowów, które natychmiast ustępowały, skoro ją rozśmieszono. Teraz jednakże, wymagając od niej należytego znalezienia się w chwili stanowczej,

wypadało koniecznie oświecić ją pozornie względem celu tej maskarady. Udano więc przed nią, iż chodzi tu o wykradzenie młodzieńckiej a niezmiernie bogatej panny, z rąk starego srogięgo wuja, zmuszającego ją do oddania ręki innemu, sześćdziesięcioletniemu, szkaradnemu starcowi. Panna przeciwnie kocha się w swoim dawnym znajomym, kapitanie Toul, i za tajnem przyzwoleniem ciotki, u której mieszka, postanowiła uciec z nim. Nie może atoli dokonać tego inaczej, jak tylko zostawiając w nocy kogoś innego, tj. właśnie Joannę na swoim miejscu. Za to przyobiecano jej zabezpieczenie losu na całe życie, przedstawiono biednej dziewczynie w tak jaskrawych kolorach niebezpieczeństwo wszystkich jej towarzyszków, zagrożonych utratą gardła w razie rozbicia się projektu, iż poczciwa Flamandka na wszystko

zezwołała. Zaczem ubrano ją natychmiast w bogatą adamaszkową suknię, pani Misset zaczesła ją z pańska, a Wogan dał jej otwarty list pod adresem pana de Cbateaudeau, w którym była prośba o zajęcie się losem Joanny i nadesłanie jej w swoim czasie za panną uwieczoną.

Z tymże samym poufnikiem księżniczek w Insbruku porozumiano się ostatecznie z Nazaretu względem godziny i miejsca, w których orszak poufny stawić się miał na placu. Zdązał on do tegoż miasta, rozciągającego się po obydwóch wybrzeżach Inu, od lewej strony rzeki. Więzienie księżniczek leżało o dwa tysiące kroków od Inu, po prawej stronie. Pośrednicząca pomiędzy nimi okolica mostu nad Inem miała być głównem stanowiskiem sprzymierzeńców. Ósma godzina wieczorem była oznaczonym czasem przybycia. Wysłany naprzód Toul wy-

nalazł w pobliżu mostu cichą, ustronną gospodę „pod Barankiem” i w jej bramie wyglądał znanej berlinki. Na moście miał czekać służący p. de Chateaudoux, aby natychmiast uwiadomić go o przyjeździe. Około ósmej godziny nadjechała w istocie berlinka z pp. Wogan i Gaydon i obudwoma damami. Na widoki Toula kazano poczytlionowi zajechać „pod Baranka”. Pani Misset i jej siostra mniemana wysiadły szybko z powozu i wbiegły do wskazanego sobie pokoju na pierwszym piętrze.—Joanna pod pozorem strasznego bólu zębów rzuciła się zaraz na łóżko, zasunęła gruby welon na twarz i oświadczyła, że nie chce ani jeść ani pić. Tymczasem mężczyźni krzatali się napróżno około mostu, oglądając się za panem Chateaudoux. Jego służący nie stanął w swoim czasie na zwiadach, przez co wiadomość o przybyciu orszaku doszła do wię-

zienia księżniczek o dwie godziny później, niż należało. Dopiero około jedenastej godziny w nocy pojawił się p. Chateaudoux. Zetknąwszy się z nim, usłyszeli sprzymierzeńcy z nieprzyjemnością, iż księżna-matka prosi jeszcze o odwleczenie projektu do 4 godziny z rana. Niepodobna było zgodzić się na to. Musiał więc p. Chateaudoux przystać w imieniu księżny na natychmiastową ucieczkę. W tym celu sprowadzono biedną Joannę na most, i podczas gdy mniemani hrabstwo de Cernesse pozostali w stacji na górze, gdy Toul pilnował na dole, ażeby bramy oberży nie zamykano, Wogan z p. Chateaudoux i Joanną, prowadzoną przez służącego, udał się ku więzieniu księżniczek.

Było już blisko północy. Po ciichym wiosennym wieczorze zaczął nadzwyczajnie gęsty śnieg padać. W pół drogi do mieszkania księżni-

czek, w wązkim poprzecznym zaułku, kazał p. Chateaudoux zatrzymać się. Nie mając odwagi widzieć się w tej chwili z samą księżniczką, napisał do niej bilet, oznajmiający w dwóch słowach, iż teraz albo nigdy pora uciekać. Gdy drżący z wzruszenia Francuz wyprawiał służącego z biletem, Wogan miał nowy kłopot z Joanną. Zastłyszala ona przypadkiem słowo „księżniczka“, które ją niepokojem przejęło. „Jużci nie może być” — ozwała się nieboga do towarzysza— „aby księżniczki dla p. Toul wykradać się pozwalały. Musi więc zachodzić w tem jakiś sekret”. Zafrasowany Wogan wsunął jej czempredzej znaczny podarek w rękę, który na szczęście wcale inny kierunek jej myślom nadał. Odkąd bowiem troszczyła się tylko pytaniem: co ma sobie kupić za te pieniądze? Musiał i Wogan wesprzeć ją swoją radą w tej wąt-

pliwości. Tymczasem wrócił służący z odpowiedzią księżniczki, oświadczającej gotowość swoją. Wziął tedy Francuz Joannę spiesznie pod ramię i pożegnał Wogana prośbą, aby tu czekał księżniczki. Niebawem zniknęli wszystko troje w kierunku mieszkania więziennego, a Wogan pozostał sam w uliczce.

Mimo burzy i śniegu, świeciła jasno gwiazda księżniczki. Samo niebo ułatwiało ucieczkę. Nagła zawierucha spadła zasłoną na oczy przeciwników. Czuwająca przed domem więziennym straż, która nigdy przedtem nie uchylała się z bramy, teraz w dogodniejsze skryła się miejsce. W taką burzę i o tak późnej porze wszelka ostrożność zdawała się zbyteczną. Nadto, miano właśnie zamykać bramę na noc. Postrzegł to był służący pana Chateaudoux, wyprawiony z owym biletem do księżniczki, i uwiadomił ją o tem.

Zdecydowana do korzystania z chwili księżniczka, gotowa była użyć innego środka ucieczki, gdyby tymczasem bramę zawarto. Przedsięwzięła w takim razie uciec ogrodem, przez mur, za pomocą drabinki. Chcąc się jednak sama przekonać czy wyjście główne jeszcze wolne lub nie, zbiegła na schody. Postrzegłszy stamtąd pana Chateaudoux z Joanną w otwartej bramie, cofnęła się czempredzej. Pozostawało tylko pożegnać się jeszcze z matką. Rozstanie to nie mogło trwać nad chwilę. Jedno spieszne błogosławieństwo musiało zastąpić wszelkie łzy, wszelkie słowa. W oka mgnieniu wróciła księżniczka na schody, do czekającej już tam Joanny. Stłumiona boleść rozstania malowała się tem wymowniej na obliczu pięknej uciekającej. Widok ten rozrzewnił pocziwają Joannę. Przywdziwając księżniczkę swoją zroszoną śniegiem

odzież, ucałowała ją serdecznie, prosząc aby się nie martwiła. „Pojeździesz” — rzekła litośnie — z „bardzo grzecznymi panami i zacną panią, którzy nie dadzą ci krzywdy zrobić.” — Po tych słowach została Francuzka zamiast księżniczki wprowadzoną na pokoje więzienne, a przebrana córka książęca była już za bramą, na ulicy.

Za chwilę, o pierwszej godzinie po północy, wśród zawieruchy śnieżnej, nadeszła ku Woganowi szybkim krokiem jakaś postać kobieca. Pod jej popielatym płaszczem, zapuszczonym welonem, strojem Joanny, mogła dla niego kryć się zarówno księżniczka ocalona, jakoteż w razie spóźnienia projektu, powracająca Joanna. Z niewypowiedzianą uciechą poznał Wogan księżniczkę. Tajemniczość chwili wzbraniała wszelkich oznak radości, wszelkiej rozmowy. W milczeniu pospie-

szono dalej, ku oberży za mostem. Ciężkie, przemokłe od ciągłego śniegu odzienie, również ciężki, bo pięciu do sześciu niepróżnemi kieszeniami zaopatrzony fartuszek podróżny, wreszcie gruba warstwa śniegu pod stopami, utrudniały krok każdy. Usłużność, przewodnika Wogana, który czy to skutkiem krótkiego wzroku, czy zbytniego zaprzątania umysłu, błyszczące plamy roztopionego śniegu brał za białe kamienie i ustawicznie w wodę naprowadzał księżniczkę, nie wielce także ułatwiała przeprawę. Osiągnięto przecież szczęśliwie most przy oberży. Tam musiał Wogan opuścić księżniczkę na krótką chwilę, aby przodem do oberży pobiegłszy, zapewnić się, iż wnijscie do niej jest wolne. „I oto poraz drugi“— zdumiewa się pamiętnikarz—„widzimy księżniczkę, samą, śród nocy, na ulicy, znużoną przykrym chodem,

wystawioną na całą okropność burzy zimowej!“ Na szczęście wrócił wkrótce przewodnik i wprowadził ją bezpiecznie pod dach oberży, do ubogiej stancyjki na pierwszym piętrze, gdzie po spiesznem zdjęciu z niej ciężkiego, przemokłego odzienia, całe wzruszone towarzystwo, w milczącym uniesieniu radości, padło na kolana przed swoją młodocianą królową...

Za kilka minut, około drugiej godziny po północy, zabrzmiała trąbka pocztarska i pędziła już z miasta gościńcem ku Weronie, uprzężona czwórką berlinka, a w niej: pani Misset z księżniczką w głębi, panowie Gaydon i Wogan na przedzie, szczęśliwy zaś (zdaniem Joanny) kochanek synowicy srogiego wuja, kapitan Toul, z pocztylionem na koźle. Za miastem przypominano sobie toaletę księżniczki z klejnotami, nadesłaną za nią do oberży przez

księżnę-matkę a w pośpiechu wyjazdu pozostawioną gdzieś na uboczu. — Toul skoczył czempredzej na koń, wrócił cwałem do miasta i znalazłszy toaletę na swoim miejscu, przywiózł ją wkrótce nazad. Ten traf szczęśliwy wzięto za pomyslną wróżbę dalszej wyprawy. Na pierwszej stacji przyprzężono nową parę koni, a nad rankiem stanęła berlinka o sześć mil od Insbruku u szczytu góry Brenner, gdzie od dni kilku, pod pozorem słabości, czekali Misset i Mitchel. Tam przy zmianie koni pocztowych, wytężone dotąd siły księżniczki zawiodły ją na chwilę. Chcąc cokolwiek wypocząć, zemdlała na ręku pani Misset. „Wszelkie okropności śmierci — opowiada autor Pamiętnika — „przeszyły nas na ten widok“. Za użyciem jednak kropel trzeźwiących ocuciła się wnet księżniczka, aby natychmit dalszą rozkazać podróż.

Było w całej podróży jedyuy znak słabości ze strony Klementyny. Usprowadliwiały go dostatecznie wrażenia nocy minionej, zupełny brak snu, trud ciągłej jazdy, nakoniec odmówienie sobie wszelkiego z rana posiłku, jako w piątek, dzień postu. Zresztą okazała się nasza siedmna-stoletnia heroina godną we wszystkim bohaterskiego imienia, jakie nosiła. Nie zatrwożyły ją na chwilę samotność, burza nocna, możność popadnięcia w ręce surowych prześladowców. Żaden przypadek chwili, jak np. owa strata szkatułki z klejnotami, nader przykre później uszkodzenie powozu, nie zachwiały jej spokojności. Niebezpieczna gdzie-niegdzie jazda wzdłuż przepaścistych brzegów Adygi, nabawiająca śmiertelnej trwogi panią Misset, służyła księżniczce z tegoż powodu za niejaką rozrywkę, rozweselającą ją widokiem śmiesznych symptomatów

przestrachu towarzyski — pobudzając ją później do niewinnych z niej żartów. Przyszedłszy teraz z omiedlenia swego do siebie, wszczęła księżniczka krótką rozmowę z swoimi milczącymi dotychczas wybawcami. Ośmieleni jej uprzejmością, zdumieni rzadką w tak dziecinnym wieku determinacją, nie mogli oni wstrzymać się od wynurzenia swego podziwu. „Co W. K. Mość uczyniłaś dzisiaj dla króla, pana naszego” — rzecze major Gaydon w imieniu reszty — „zapewnia jej nieśmiertelną chwałę w rocznikach świata. Przed wielką duszą W. Król. Mości upadną w proch wszelkie zawady i przeciwności, jakie dotąd stały w drodze królowi, panu naszemu. Wasza król. Mość będzie zbawieniem i rozkoszą dni jego.“

Jakoż wysilali wierni słudzy domu Stuartów wszelką swoją gorliwość, aby uwieść nieuszkodzenie

tak drogi skarb. Właściwa owemu czasowi przesada ceremonjalności i dworactwa posuwała tę ich niezmierną troskliwość aż do śmieszności. Połączone z nią zbyteczne przejęcie się wielkością dzieła swojego przynosiło znaczny uszczerbek męskości i przytomności samychże sprawców. Ow Francuz Chateaudoux nie mógł dla zbyt wielkiego wzruszenia znieść w stanowczej chwili widoku uciekającej księżniczki, Irlandczykowi Woganowi, z podobnej przyczyny, błyszcząca woda kałuży wydawała się raz po raz białymi kamieniami. W nocy, gdy księżniczka i pani Misset zadrzemały w powozie, każde potrącenie się ramion porażało towarzyszków przestraszeniem, aby nie ucierpiała na tem całość „Trzech zjednoczonych królestw.“ — „Mieć oś złamaną i być odpowiedzialnym za bezpieczeństwo królowej, której losy obchodzą ca-

e chrześcijaństwa!" — woła major Gaydon w swym Pamiętniku.—Temci nadobniej odbijała od takich uniesień śmiałość księżniczki — śmiałość żywego, swobodnego, wkrótce nawet wesoło igrającego dziecka, jedynej naiwnej duszy w tem towarzystwie.

Na szczęście ochraniała ją opatrność od zbyt ciężkich doświadczeń. Jak samo wyjście z murów więzionych, tak i wszystkie dalsze przygody tej podróży odpowiadały swą łagodnością młodocianemu wiekowi bohaterki. Dzięki łaskawej opiece niebios, do których tyle modłów wznosiło się z różnych stron za księżniczką, kilkudniowa ucieczka, grożąca w zamysle tysiącznemi niebezpieczeństwami, stała się w rzeczywistości zabawną, wcale nieszkodliwymi przygodami urozmaiconą przejazdka. Największą niedogodność sprawiła jednocześnie podróż Mar-

grabiny Badeńskiej, która tym samym gościńcem, tylko o trzy stacje pocztowe przodem, jechała dwornie do Włoch. Z tej przyczyny dostawały się naszym podróżnym na każdej stacji pomęczzone już konie, a często nie można było żadnych otrzymać. Z tem wszystkiem ubieżono do 16 mil dnia pierwszego. Naza jutrz rano dwaj z towarzyszków, Toul i Misset, pozostali umyślnie z tyłu, w miasteczku Welsch Milik, przed Trientem, aby pilnie mieć oko, czy nie będzie przejeżdżał z Insbruku jakiś kurjer, który na wypadek przedwczesnego tamże wykrycia się ucieczki mógłby wieść rozkaz powstrzymania księżniczki w drodze. W takim razie miała pozostawiona czata przeszkodzić kurjerowi w dalszej pogoni. I w istocie, podczas gdy drużyna uciekająca spieszyła po południu z Trientu do Roveredo, zajechał do gospody w Welsch Milik

przejeżdżający z Insbruku goniec z depeszami do komendanta Trientu. Lubo nie znając właściwej treści depesz, wszczełi Toul i Misset natychmiast pogadankę z kurjerem, który srodze znużony, rad był chwilce spoczynku. Od słów przyszło do szklanek, a gdy po kilku butelkach kurjer ozwał się z prośbą, aby mu wody dolewano do wina, dolewano mu wódki natomiast. Wkrótce usnął na placu, a czuwającym nad nim przyjaciółom pozostała tylko troska zbyt dużą, aby się nie obudził za-
wczelnie.

Tymczasem księżniczka ujeżdżała wieczorem z Roveredo ku Ali. Bawiono ją żartobliwą rozmową o zaletach berlinki, która całą przestrzeń z Strasburga aż potąd bez najmniejszego przebyła szwanku. W tem łamie się jedna część osi. Musiano wysiąść. Wogan z Mitchelem zajęli się naprawą. Gaydon i pani Misset

uprowadzili księżniczkę na łąkę, ku jakiejś wiosce. Chęć napicia się mleka zwabiła ją do siola. Dzwoniono tam właśnie na modlitwę wieczorną. Nie było mleka, lecz natomiast weszła księżniczka do kościołka wiejskiego i padła na kolana. Po skończonej modlitwie przybył Wogan oznajmić, iż koło naprawione.

Nadwerężenie berlinki i pomeżone konie nie dozwalały pospieszać. Na szczęście zbliżano się już do ostatniej stacji przed granicą rzeczypospolitej weneckiej, kresem wszelkiej obawy. „Wtedy“ — pisze major Gaydon w swym Pamiętniku — „o jedenastej godzinie w nocy wydarzył się przypadek, który miałtem głośniej rozślawić imię księżniczki w dziejach.“ Złamała się druga część osi. Powóz wywrócił się. Księżniczka spała tak mocno, że nie czuła wcale wywrotu. Wogan

wziął ją na ręce i ustąpił z nią na bok. Widząc jakiś biały kamień przed sobą, postawił na nim księżniczkę. Dopiero nagle wzdrygnięcie się spiącej oświeciło go, że ją znowu w wodę wprowadził. „Gdzie mama?” — były pierwsze słowa księżniczki, wymówione jeszcze pół we śnie. Po zupełnem ocuceniu się wypadło dojsć piechotą do stacji. Kosztowało to pół godziny przykre-go chodu, nocą, w wilgoci. „Ale podczas gdy my” — pisze Gaydon — „oddawaliśmy się smutkowi, królewna żartowała sobie z tych fraszek“.

W miasteczku Ala, dokąd po północy nadciągnął powóz złamany, okazało się, iż naprawa potrwa do rana. Będąc o półtorej mili od granicy, nie chciano narażać się na taką zwłokę. Groziła ona tem prawdopodobniejszem niebezpieczeństwem, ileże Toul i Misset, czuwający jeszcze nad swoim spiącym kurjerem,

nie połączyli się dotychczas z towarzystwem, a zatem musieli zapewne spotkać się z jakąś poszlaką. Najęto więc prosty wózek — najlepszy, jaki można było dostać w miasteczku — wyścielono go poduszkami berlinki, i wsadzono nań obie damy. Panowie Gaydon i Wogan szli pieszo obok. Mitchel pozostał przy berlince, która nazajutrz rano miała przybyć za towarzystwem. Ponowiona przedtem przechadzka, w połączeniu z przeszłodwudniowem unużeniem, złożyła księżniczkę na nowo snem głębokim. Obudził ją z niego dopiero głośny okrzyk radości, gdy wózek o pół do czwartej zrana przejechał linję graniczną.

O godzinie piątej stanęła księżniczka w pierwszym miasteczku weneckiem Peri. Powitało ją tam ranne dzwonicie na mszę. Usłyszawszy je, porzuciła drużyna wędrow-

na swoją tyrolską dorożkę na środku miasta i udała się do kościoła. Po złożeniu gorących dzięków niebiosom znaleziono oberżę i pozwolono sobie spoczynku.

W ciągu dnia połączyli się z towarzystwem Mitchel z naprawioną berlinką i Toul z Missotom. Była to trzecia doba od ucieczki z Innsbrucku. Dwa dalsze dni zaprowadziły wszystkich spokojną, lecz zawsze jeszcze pod przybranem nazwiskiem odbywaną podróżą, w granicę państwa Kościelnego, do Bolonji, najbliższego kresu podróży. Po narzeczonym, którego księżniczka nie miała zastać we Włoszech, najciekawszym dla niej widokiem w Bolonji był widok owej córki domu Caprara, którą złośliwe doniesienia mieniły jej rywalką. Przyjąwszy powitalne odwiedziny kardynała legata bolońskiego, zwiedziwszy *incognito* główne kościoły i klasztory,

kazała księżniczka zaprowadzić się do pałacu Caprara. Marszałek domu okazywał z osobliwszem upodobaniem liczne znaki zwycięskie, odniesione przez jednego z przodków rodziny w wojnach z Turkami. Księżniczka chciała przedewszystkiem widzieć portret panny Caprara. Żywy rumieniec oblał jej lica, gdy nań okiem rzuciła. Towarzysze księżniczki spojrzeli po sobie z zadziwieniem. Nikt z nich nie wiedział, co to znaczy.

Dopiero po przebyciu granicy weneckiej przez księżniczkę rozgłosiła się w Insbruku jej ucieczka. Ow kurjer w Welsch Milik wcale inną wiadomość utopił w rozpuszczanem gorzałką winie. Przez całe dwie pierwsze doby po ujechaniu księżniczki utrzymywała księżna matka (za pomocą Joanny) wszystkich w w mniemaniu, iż córka — chora. Trzeciego dnia oznajmiono, że księ-

źniczka dla dopełnienia ślubów kościelnych oddaliła się potajemnie do swego męża. Wynikłe stąd dla rodziców przykrości zmusiły królewicza Jakóba do opuszczenia Oławy. Udał się wkrótce do Polski i zamieszkał długi czas w Częstochowie.

Wtedy księżniczka Klementyna żyła już z mężem w Rzymie. W kilka dni po jej przybyciu do Bolonji zjechał tam z Rzymu pan Murray, przeznaczony do zaślubienia księżniczki w imieniu króla. Nastąpiło to dnia 9 maja, w dziesięć dni po opuszczeniu Insbruku. — Z przychyny ciągłego *incognito*, które księżniczka mimo nader gościnną u przejęmość władz papieżkich, mianowicie bolońskiego kardynała legata Origo, najściślej zachowywała, odbył się ten obrzęd w wszelkiej cichości. O siódmej godzinie zrana udała się oblubienica w skromnej

białej sukni, w towarzystwie pani Misset, do najbliższego kościoła, i rzuciła się tam do stóp konfesjonału. Za powrotem do domu weszła na salę, gdzie całe zgromadzenie czekało z uszanowaniem. Byli tam p. Murray z umyślnie na to przywiezionym kapłanem angielskim, niejaki margrabia Monti w imieniu ojca księżniczki, Wogan w imieniu króla, wreszcie całe grono podróżne, któremu łaskawie dozwolona obecność przy tym akcie stała za najmiłą nagrodę trudów nieprzebytych. Po odczytaniu prokuracji i zezwoleniu w imieniu pana młodego, zapytał kapłan Klementynę, jeśli także zezwala? „Mogę upewnić“ — pisze Gaydou — „że Gracje przez usta jej przemówiły, gdy te słowa wyrzekła“. — Błogosławieństwo kapłańskie dopełniło ceremonji.

W tydzień później stanęła księ-

źniczka w Rzymie, w klasztorze Urszulanek, swoim tymczasowem mieszkaniu. Powitano ją nad Tyberą medalem, wybitnym na pamiątkę szczęśliwego oswobodzenia. Po jednej stronie umieszczone było popiersie księżniczki, z napisem: *Clementina, Magnae Britanniae, Franciae, Scotiae et Hiberniae Regina*. Po drugiej ozdobny rydwan, uprzężony czterą bystrymi rumakami, pod wodzą Klementyny, w pędzie ku widniejącemu zdala Miastu Wiecznemu. U góry napis: *Fortunam causamque sequor*. (Spieszę za szczęściem i słuszością). U spodu: *Deceptis custodibus*. A. 1719.) Medal ten był tylko początkiem zaszczytów, jakie księżniczkę tak ze strony papieża, jakoteż całego ludu rzymskiego obasywały niebawem w stolicy apostołskiej. Łaskawe posłuchanie o Ojca św., odwiedziny najdosłojniejszych osób, pielgrzymki po miejscach świę-

tych, skróciły porę oczekiwania króla z Hiszpanji. Nadpłynął on z końcem sierpnia, na dwóch statkach hiszpańskich, które zawinęły w Livorno. Księżniczka wyjechała na przeciw niemu do Monte Fiascone. Biskup djecezjalny połączył ich tam nowem w imieniu papieża błogosławieństwem. Pod koniec października przybyli oboje małżonkowie do Rzymu i zajęli przygotowany sobie pałac na placu Sant' Apostoli.

W jego to murach zamknęły się odtąd dnie Klementyny. Droga do Anglii, na tron stawała się coraz wątpliwszą. Natomiast zwróciła Klementyna w inną stronę swe myśli. Córka pobożnego ojca, który codziennie po kilka mszy św. słuchał, któremu klasztor na Jasnej Górze Częstochowskiej za najmilszy służył przytułek, oddała się młoda królowa wyłącznie życiu bogobojnemu. Matka dwóch synów, z których je-

den później przez kilkanaście miesięcy miał z orężem w ręku panować w Szkocji, a zatrząść całą Wielką Brytanią, mniemała ona zupełnem zrzeczeniem się wszelkiej wielkości światowej, wszelkich rozkoszy ziemskich, uskarbić je u nieba dla swoich dzieci. Stąd ciągle przez dalsze lata samotność, ciągle modlitwy i posty, kilkakrotna co tygodnia komunja św., coroczne na dłuższy czas rekolekcje klasztorne.

Zjednała ona sobie tem najwyższą cześć dworu apostolskiego, powszechne uwielbienie ludu. — „To święta!“ rozchodziło się daleką aż do Polski pogłoską.

Niebawem zabrzmiały te słowa nad jej grobem. Już kilka lat surowego skruszenia duchowego położyły koniec żywotowi. Umarła Klementyna dnia 18 stycznia roku 1735, przeżywszy lat 33 i 6 miesięcy. Niezmierna żalność ogarnęła całą sto-

licę. Przez resztę żałobnego tygodnia zamknięte były wszelkie widowiska publiczne, spoczywały wszelkie rozrywki, milczał Rzym cały. Dla tem większej okazałości pogrzebu zdjęto nieboszczce habit dominikański, który sobie przywdziać kazała, a obleczone ją w szaty królewskie. W koronie, z berłem w ręku, spoczęła nazawsze w podziemiach św. Piotra.

We dwa lata później (19 grudnia 1737) spoczął jej ojciec w Żółkwi. Jedenastą laty wcześniej (22 lipca 1726) poprzedził go tam do grobu średni z braci, Konstanty. Wszyscy trzej zeszli bez potomka po mieczu. We trzy lata po zgonie królewicza Jakóba, ze śmiercią ostatniej z jego córek, Karoliny księżny de Bouiljon, zmarłej w Żółkwi r. 1749, nie stało nawet żeńskich potomków. Nie było już nikogo ze krwi króla Jana III, coby nosił imię Sobieskich.

W przeciągu jednego wieku zajaśniał ten ród w oczach świata i zgasł. Wielcy dziadowie rozślawili go blaskiem oręża; pobożna wnuka przyozdobiła jego zachód aureolą świętości.

K O N I E C.